◆ KSAWERY PRUSZYŃSKI: Ziemia świętego Justa ◆ EDMUND OSMAŃCZYK: Berlin — wyspa nieznana ◆



ODRODZENIE

TYGODNIK

CZYTELNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 9 maja 1948 r. — Nr 19 (180)

MAKSYM GORKIJ

ODPOWIEDŹ INTELEKTUALIŚCIE

Dnia 6 kwietnia 1931 roku Maksym Gorkij w zakończeniu listu do pewnego intelektualisty zachodnio-europejskiego przepowiedział katastrofę drugiej wojny światowej.

List Maksyma Gorkija nie stracił na aktualności i dzisiaj. Ogłaszamy równocześnie nadesłany do naszej redakcji artykuł Emmanuela Mounnier, poświęcony zagadnieniu przyszłości kultury europejskiej.

Szereg intelektualistów i pisarzy europejskich szuka obecnie dróg porozumienia, współpracy i skupienia sił dla walki o pokój i warunki dalszego rozwoju kultury.

Pisze Pan do mnie: wielu intelektualistów europejskich zaczyna się czuć jak ludzie pozbawieni ojczyzny i w związku z tym wzrasta nasze zainteresowanie życiem w Rosji. Nie rozumiemy go jednak i pytamy: Co się dzieje w Związku Radzieckim?

W Związku Radzieckim toczy się walka rozumnie zorganizowanej woli twórczych mas przeciwko żywiołowym siłom przyrody i przeciwko tej samej „żywiołowości" w człowieku, która, w swej istocie jest instynktowną anarchią indywidualizmu, doprowadzonego w ciągu stuleci ucisku państwa klasowego do rozkwitu. Ta walka jest podstawą nowej rzeczywistości w Związku Radzieckim. Kto chce zrozumieć proces rewolucyjny, jaki się dokonał w kulturze dawnej Rosji, zrozumie go tylko wówczas, kiedy będzie go pojmował jako walkę o kulturę i o tworzenie wartości kulturalnych.

Wy, ludzie Zachodu, stworzyliście sobie, o narodzie radzieckim [illegible] godny ludzi mieniących się szermierzami kultury w całym świecie, gdyż jest to stosunek jaki ma właściciel sklepu do kupującego, wierzyciel do dłużnika. Nie możecie zapomnieć, że Rosja carska pożyczyła od was złoto, że uczyła się w waszych szkołach. Nie pamiętacie jednak, że te pożyczki przynosiły wielkie zyski waszym przemysłowcom i kupcom, i że nauka rosyjska XIX i XX stulecia zasiliła potężnie ogólny strumień wiedzy odkrywczej Europy, i że teraz wy, którzy tyle mówicie o swej twórczości w dziedzinie sztuki, czerpiecie z sił, idei i kształtów sztuki rosyjskiej. Nie będziecie chyba przeczyć, że rosyjska muzyka i literatura, tak, jak rosyjska nauka, od dawna stały się wspólną własnością kulturalną całego świata. Powinniście pamiętać, że naród, który w ciągu jednego tylko stulecia podniósł swą twórczość duchową do poziomu, dorównującego temu, który Europa osiągnęła w ciągu wielu wieków, że taki naród, który zdobył sobie prawo do swobodnej twórczości, zasługuje aby zwrócić na niego uwagę i zainteresować się nim. Czyż nie powinniście sobie teraz jasno postawić pytania o różności celów, dla których żyje burżuazja i naród sowiecki. Jest chyba jasne, że przywódcy polityczni Europy służą nie interesom całego narodu, lecz tylko interesom grup kapitalistycznych, a te są zupełnie przeciwne. Ta wrogość waszego „narodu" wobec nieodpowiedzialnych kapitalistów, wywołuje takie zbrodnie przeciwko ludzkości, jak wojna światowa 1914 — 1918 roku. Ta wrogość pogłębia pierwiastek nieufności pomiędzy narodami, zmienia Europę w szereg warownych obozów, pochłania olbrzymi potencjał siły ludzkiej, złota i żelaza dla tworzenia narzędzi masowego mordu. Przez tę wzajemną nienawiść kapitaliści pogłębili światowy kryzys ekonomiczny, który z kolei wyczerpuje siły fizyczne narodu i przeszkadza rozwojowi sił intelektualnych. Ta nienawiść łupieżców i kapitalistów wywołuje nowy rozlew krwi w całym świecie. Zapytajcie sami siebie: Poco dzieje się to wszystko? I jeśli pragniecie szczerze uleczyć się ze swych dręczących wątpliwości i ze swego biernego stosunku do życia, zastanówcie się nad ustrojem społecznym i rozważcie głęboko, nie dając się porwać słowom, cel istnienia kapitalizmu, mówiąc ściślej: zbrodnię jego istnienia.

Wam jako intelektualistom, droga jest ta kultura „której ogólnoludzkiego znaczenia nie da się zaprzeczyć" nieprawdaż? A przecież, w waszych oczach kapitalizm niszczy codziennie i systematycznie tę tak wam drogą kulturę wewnątrz Europy i przez swą nieludzką, cyniczną politykę stwarza w koloniach armię wrogów kultury europejskiej. Nawet gdyby ta kultura grabieżców wyhodowała w częściach ziemi, zamieszkałych przez ludy żółte i czarne, tysiące takich samych grabieżców, nie wolno zapominać, że zawsze pozostają jeszcze setki milionów okradanych



Maksym Gorkij

i nędzarzy. Hindus, Chińczyk, czy mieszkaniec Annamu może wprawdzie ugiąć głowę przed siłą armat, nie znaczy to jednak, że schyla ją z szacunku dla europejskiej kultury. I wtedy zaczyna rozumieć, że w Związku Radzieckim tworzy się inna kultura, różna od tamtej w formie i treści.

W Związku Radzieckim szybko postępuje proces przyswajania najlepszych i bezsprzecznie wartościowszych elementów dzieła dokonanego przez ogólno-ludzką kulturę, proces przyswajania i dalszego pogłębiania tych wartości. Oczywiście stary świat musi przy tym ulec zniszczeniu, ale to jest warunkiem wyzwolenia jednostki z przeróżnych ograniczeń krępujących jej rozwój intelektualny, warunkiem zrzucenia pęt klasowych idei i wierzeń. Głównym celem procesu kulturalnego w ZSRR jest zjednoczenie ludzi w niepodzielną całość. Praca ta jest planowa i opiera się na całej historii ludzkości. Oznacza początek odrodzenia nie tylko narodowego, lecz światowego. Marzyły o tym takie jednostki, jak Campanella, Thomas Morus, Saint-Simon, Fourier i inni, wtedy, kiedy jeszcze nic nie zapowiadało, że ich marzenia w dziedzinie przemysłowej i technicznej staną się rzeczywistością. Teraz urzeczywistnienie to się zbliża, marzenia utopistów przybierają kształty realne w dziedzinie nauki, nad realizowaniem ich pracują wielomilionowe masy. Potrzeba jeszcze jednego pokolenia, a w samym tylko Związku Radzieckim wyrośnie 200 milionów twórczych ludzi, którzy będą pracowali nad wcieleniem tych marzeń w życie.

Pragnienie wiedzy wzrasta coraz silniej. W ciągu ostatnich 13 lat założono w ZSRR kilkadziesiąt Instytów Badań Naukowych, nowych uniwersytetów i technicznych szkół wyższych. Czy państwo burżuazyjne postawiło sobie za cel i czy może postawić sobie za cel rozszerzanie kultury wśród mas ludu pracującego? Na to proste pytanie historia daje odpowiedź przeczącą. Kapitalizm przewidywał rozwój umysłowy mas pracujących o tyle tylko o ile, to potrzebne dla lepszego rozwoju przemysłu i handlu. Człowiek w ustroju kapitalistycznym liczy się tylko jako mniej lub więcej kalkulująca się siła robocza, jako obrona istniejącego porządku. Kapitalizm nie doszedł jeszcze i nie mógł dojść do zrozumienia, że sens i cel prawdziwej kultury leży w dążeniu do rozwijania i gromadzenia energii intelektualnej. Aby energia ta mogła rozwijać się nieprzerwanie i umożliwić ludziom jak najszybsze opanowanie przeróżnych sił i bogactw przyrody, trzeba zwolnić maximum energii fizycznej od bezmyślnej, bezplanowej pracy, wykonywanej przez masy pracujące w imię ciasnych, samolubnych interesów kapitalistów, rabusiów i pasożytów. Dla ideologów kapitalizmu, pojęcie ludzkiej indywidualności jako czynnika przynoszącego pewien wkład energii intelektualnej, jest zupełnie obce. Mimo wszystkich pięknych słów i frazesów ideologia wyznawców panowania mniejszości nad większością jest w samej swej istocie zwierzęca.

Państwo klasowe skonstruowane jest na wzór zoologicznego ogrodu, gdzie zwierzęta siedzą zamknięte w żelaznych klatkach. W państwie klasowym skontruowano więcej lub mniej zręcznie klatki pojęć, które sztucznie dzieląc ludzi, uniemożliwiają rozwój indywidualnego uświadamiania sobie własnych interesów i stworzenie jednolitej, prawdziwie ludzkiej kultury.

Czy mogę zaprzeczyć, że indywidualizm jednostki także i w Związku Radzieckim ulega pewnym ograniczeniom? Oczywiście, że nie. W ZSRR wola jednostki napotyka na opór za każdym razem kiedy zwraca się przeciw woli mas, świadomych swego prawa do nowej formy życia kiedy przeciwstawia się woli mas dążących do pewnego celu, którego jednostka nawet obdarzona geniuszem nadprzyrodzonym, nigdy nie mogłaby osiągnąć. Ulegając posłusznie podszeptom państwa kapitalistycznego intelektualiści Europy i Ameryki, dziennikarze, publicyści i ekonomiści, świadomie lub nieświadomie służą interesom burżuazyjnego ustroju klasowego, który powstrzymuje postęp ogólnoludzkiego procesu kulturalnego. W tym procesie, rolę coraz bardziej aktywną odgrywa wola mas zmierzająca ku stworzeniu nowej rzeczywistości. Intelektualiści wierzą, że bronią wolności demokracji, bronią „wolności indywidualnej", mimo że wolność ta zamknięta jest w klatki pojęć, ograniczających rozwój intelektualny, bronią „wolności słowa" chociaż kapitaliści opanowali prasę, która służy tylko ich nieludzkim, zbrodniczym interesom.

Lud pracujący w Związku Radzieckim rozumie przede wszystkim rzecz najważniejszą: że władza jest w jego rękach. W państwach burżuazyjnych prawa ustanawiane są z góry przez wyższe Izby parlamentu, w celu umocnienia władzy klasy panującej. W Związku Radzieckim prawa tworzy się w organach niższych, w sowietach wiejskich, w radach zakładowych, i jeśli się pilnie obserwuje etapy ustanawiania jakiegokolwiek prawa, łatwo się przekonać, że celem, jaki tu przyświeca, jest nie tylko zaspokojenie istotnych potrzeb mas pracujących, lecz także ich rozwój kulturalny. Masy robotników i budowniczych ZSRR zaczynają rozumieć, że proces podnoszenia się ich dobrobytu materialnego i ich rozwój kulturalny jest sztucznie i złośliwie powstrzymywany przez kapitalistów Europy i Ameryki. Ta świadomość sprzyja również z natury rzeczy rozwojowi uświadomienia politycznego i poczucia własnej siły.

Gdyby intelektualiści Europy i Ameryki, zamiast słuchać podszeptów i wierzyć zdrajcom przemyśleli dokładnie i uczciwie historyczne znaczenie procesu, który rozwija się w ZSRR, zrozumieliby, że cel tego procesu jest następujący: przyswojenie niezaprzeczalnych wartości ogólnoludzkiej kultury 160 milionowemu narodowi. Zrozumieliby, że naród ten pracuje nie tylko dla siebie, lecz dla całej ludzkości, ukazując jej, jakiego cudu może dokonać rozsądnie zorganizowana wola życia.

Wreszcie musimy postawić pytanie: Czy intelektualiści Europy i Ameryki pragną nowej rzezi światowej, która zmniejszy jeszcze bardziej ich liczbę i uczyni ich jeszcze bardziej bezsilnymi? Pracujące i budujące masy ZSRR nie pragną wojny, one chcą stworzyć państwo równych ludzi.

Maksym Gorkij

przełożyła K. Wojciechowska

EMMANUEL MOUNNIER

SPECJALNIE DLA „ODRODZENIA"

WOJOWNICY NADZIEI

„Szczęście", mówił Saint-Juste w porywie historiozoficznego natchnienia, „jest ideą nową w Europie". W samej rzeczy, szczęście miało być w okresie dwu stuleci wielkim mitem wieku liberalnego, tak jak harmonia była mitem świata greckiego, a świętość mitem chrześcijańskiego średniowiecza. Kto mówi o szczęściu, nie mówi o przeżyciach czy też wielkim napięciu sił życiowych, lecz ma wizję spokoju, szczęśliwej równowagi umiarkowanych uczuć, pewności. Rodząca się demokracja myślała, że potrafi wreszcie zabezpieczyć pewność polityczną; liczyła na to — z dobrą wolą, opartą bardziej na optymizmie niż szlachetnych pobudkach, — że osiągnie stan pewności ekonomicznej, „największe szczęście dla największej liczby", jak głosiła formuła moralistów i ekonomistów.

Przy końcu pierwszej połowy tego stulecia obserwator, który by chciał scharakteryzować samopoczucie europejskie powiedziałby raczej: „Rozpacz jest ideą nową w Europie". Egzystencjalizm, przynajmniej ten, o którym się mówi (a nie jest on jedyny) falą pesymizmu ogarnął rozległe dziedziny myśli. Kryzys nauki, kryzys wiary religijnej, kryzys struktur politycznych i ekonomicznych, przychodząc równocześnie, wstrząsnął stary gmach naszej cywilizacji i zachwiał jego podstawy. Stąd u ludzi, niebronionych silną wiarą religijną czy polityczną coraz powszechniejsze przekonanie, że świat jest absurdalny, że nie ma nam nic do powiedzenia i na nic nie może dać odpowiedzi, że historia pozbawiona jest sensu a nasze życie nie ma celu. Nie jest to wyłącznie sprawa filozofów. Tyle razy ludy zostały zawiedzione w swych nadziejach pokoju, deptających w dwu kolejnych wojnach światowych i w swych ofiarach dla rewolucji, obracanych w niwecz od kryzysu do kryzysu, gdzie albo ulegały wypaczeniu albo utykały na martwym punkcie. Nigdy jeszcze bieg wypadków, — zmiany ustrojowe, procesy polityczne nie wydobyły na widok publiczny tylu ludzi, którzy dzisiaj nazywają czarnym to, co wczoraj uważali za białe, dając żałosne wyobrażenie o trwałości pewnych przekonań. Wrażenie, że wielkie siły, wymykając się kontroli jednostek i niekiedy państw nawet, kierują historią świata, zaciążyło nad świadomością zbiorową cieniem fatalizmu, prześladującego już naród grecki, fatalizmu, który zdawało by się rozproszyła jasna myśl filozofów.

Jeżeli zwracam uwagę na tyle warunków zewnętrznych sceptycyzmu, znużenia, nieokreślonej obawy przyszłości, które opanowały dzisiaj narody Europy to dlatego, że było by niesprawiedliwe widzieć w tym tylko oznaki upadku. Mało było epok, równie bezwzględnych dla ludzi średniej miary, nie zdradzających ani specjalnego porywu do bohaterstwa ani szczególnego upodobania do wielkich przygód, jakie daje władza. Trudno uzmysłowić sobie lepiej ten nowy stan rzeczy jak na przykładzie sztuki wojennej rycerza z czasów Ludwika XI i piechura z roku 1948. Pierwszy, jak to zresztą mówi samo określenie, walczy „z otwartą przyłbicą", „stawia czoło", nieprzyjaciel jest przed nim, w zasięgu jego spojrzenia, plac boju, który rozciąga się przed nim, z lewa i z prawa jest przestrzenią przyjazną. Dzisiaj lotnictwo i groza pocisków wszelkiego rodzaju uczyniła niebo nieprzyjacielem. Technika piątej kolumny przesącza wroga wszędzie. Wojownik dzisiejszy jest wojownikiem osaczonym. Nowoczesny europejczyk czuje się człowiekiem osaczonym.

Jesteśmy również świadkami, datującego się od chwili uzyskania niepodległości rozkwitu nowego i dosyć wyszukanego rodzaju: gatunku czarnych proroków. Sami lubią nazywać się oni prorokami Apokalipsy. Idea ciekawa zważywszy, że Apokalipsa była pieśnią tryumfu i poczucia pewności. Myślę, że można by ich znaleźć we wszystkich krajach, zaczynając od Koestlera i jego „sprzysiężenia pesymistów" aż po tę małą grupkę ponurych młodych ludzi, bardzo serio, jak wszyscy lekkomyślni Włosi, którzy we Florencji tworzą orszak wieszczków dokoła Papiniego. Dość zresztą przypomnieć nasze Kassandry francuskie.

Jedni noszą kostium, który choć nieco wyszedł z mody, dobrze znany jest tym, którzy żyli w okresie między dwiema wojnami. Ci są przez pół na żołdzie maurrasismu Oni to przejęli mit trzech R: Renesans, Reforma, Rewolucja są dla nich trzema etapami stałego i niewątpliwego upadku społeczeństwa, które wyrzekło się swoich czterdziestu królów i swego korporacjonizmu. Jedni z nich rozpolitykowani i porywczy powstają gwałtownie przeciw czwartej republice, jak to robili przeciw trzeciej, drudzy nostalgiczni i rozczulający toną w błękitnych snach, na które pozwalają im renty, wolny czas i wrodzone skłonności. Inni są bardziej filozoficznie nastrojeni jak np. p. René Guénon, od dwu lat zapowiadający naszej cywilizacji śmiertelne panowanie Jakości; niebezpieczeństwo, którego jak się zdaje p. Guénon raczej niedocenia, gdyż zapomina powiedzieć, że uczeni wszystkich kierunków coraz częściej uważają wszechświat za układ matematyczny. Jeszcze inni są bardziej teologami, choćby tylko teologami z amatorstwa, jak ta para studentów politechniki, która w 1933 wydała sensacyjną książeczkę z pretensją do ustalenia w sposób naukowy daty grzechu pierworodnego i wykazania, że od tego cza-



Emmanuel Mounnier, redaktor naczelny katolickiego miesięcznika „Esprit"

su nie tylko człowiek, ale i wszystkie gatunki zwierząt systematycznie cofają się w rozwoju. Ten wielki hałas, który się rozlega, to George Bernanos, który głosem grzmiącym zapowiada, że cywilizacja francuska zagrożona jest przez świat robotów, świat zrodzony z mąszynizmu. To znów poeta, który pobył sobie w Indiach, pan Lanza del Vasto, tworzy pośrodku Paryża rodzaj gminy ghandystów i poucza, że człowiek ma tylko cztery potrzeby, które może sam zaspokoić, powierzając się zaś cywilizacji naraża się na najgorsze nieszczęścia. Poruszenie wywołane wynalazkiem bomby atomowej i opisy powracających z obozów śmierci — to wszystko co Dawid Rousset nazwał światem odrutowanym — od trzech lat napełniają goryczą sumienie Europy. Czy tak ma pozostać?

■

Małe pismo francuskie, zagubione na zapadłej prowincji wydało tej zimy, zapewne wielkim kosztem, numer specjalny: „Przeciw duchowi katastrofizmu". Dzielne małe pisemko! Pierwiosnek pośród zimy! Zuchwałość młodości! Głos jego nie jest osamotniony. W chwili, gdy wszystko zdaje się zamykać przed nami w tej niekończącej się zimie europejskiej tak długiej, że ludzie zaczynają wątpić czy tym razem powróci wiosna, skromna wiosna z odrobiną spokoju, odrobiną nadziei z dłuższymi dniami sprzyjającymi wielkim zadaniom, czas by nam zorganizować, nie powiem sprzysiężenie optymistów, bo nie znam nic smutniejszego od optymisty a i bardziej niebezpiecznego — ale zespół ludzi dobrej myśli, więcej nawet, bo nie idzie tu o marzenia — zastęp bojowników nadziei.

Pierwszą zasadą mojego bractwa będzie, abyśmy wzięli na siebie, nie starając się od niej uciec, całą beznadziejność naszego świata. Bojownik nadziei, aby mógł walczyć jak człowiek pierwotny powinien sam płonąć rozpaczą tych, których chce wyrwać rozpaczy. Dlatego mówiłem przed chwilą, że nie należy pomniejszać niepokoju ludzi naszych czasów. Jeżeli jest on oznaką słabości, jeżeli niektórzy lubują się w nim chorobliwie, jeżeli wynikiem jego jest wyłączenie się poza nawias ogólnych trosk i prac ludzkich, to nie chodzi tu tylko o chorobę społeczną. Nie mylmy prawdziwych bojowników nadziei z tymi, którzy są niezdolni do uczestniczenia w niedoli ludzkiej, do odczuwania całej znikomości życia, do podlegania wielkim niepokojom ludzkości. Jedną z najpiękniejszych pieśni nadziei, jaka powstała w języku francuskim „Porche du Mystère de la Deuxième vertu", Karol Peguy napisał, jak już dziś wiemy w godzinie największych cierpień i próby.

Naszą drugą zasadą powinno być, ażeby napotykając na trudności — jak mawiał Descartes — dzielić je celem łatwiejszego przezwyciężenia zamiast odmalowywać je w przerażających barwach doprowadzając siebie i bliźnich do stanu nieprzytomności. Ostatnio udało mi się zrobić niechcący pewne doświadczenie. Przypadek który dobiera na naszych stołach książki w czasie choroby, pozwolił mi przeczytać kolejno po sobie: pamflet Bernanosa przeciwko światu maszyn i książkę Georges Friedmanna poświęconą metodom humanizacji pracy przemysłowej, opracowanym na całym świecie bez względu na ustrój. Zmęczenie, przygnębienie, monotonia, mechanizacja, krótko mówiąc wszystkie niebezpieczeństwa, jakie grożą człowiekowi ze strony maszyny umiejscawia Friedmann w świecie realnym, chcąc je zrozumieć i przezwyciężyć zamiast nimi szermować i budzić postrach. Bernanos jest autorem książek niezapomnianych i nie mamy zamiaru o nich zapominać z powodu tych głupstw, jakie wypisuje od trzech lat. Trzeba jednak wyznać otwarcie, że uderzający był kontrast pomiędzy jałowymi pokrzykiwaniami pamflecisty i dziecinnymi argumentami, którymi próbował je poprzeć a obrazem powolnego i spokojnego oporu rozumu, który, wysłuchując krzykaczy pyta: „O co chodzi?— i rozpoczyna swą cierpliwą pracę, analizuje problem, próbuje środków zaradczych poskramia popłoch. Kiedy widzę człowieka, który wyrusza do lasu, aby uciec przed obmierzłym światem techniki, krzyczę: „Uważaj! Zabierasz ze sobą najwymyślniejszą, najbardziej skomplikowaną ze wszystkich naszych maszyn!" On się odwraca: nie rozumie, że mówię mu o jego własnym ciele.

Nasza trzecia zasada... Żeby ją zrozumieć muszę się odwołać do wspomnień wojennych. Kiedy nasze oddziały, w 1940, były wystawione po raz pierwszy na ataki samolotów pikujących, działających straszliwie na morale bezradnego żołnierza, przyszedł do naszej jednostki okólnik Sztabu Generalnego, w którym po raz pierwszy doszukałem się śladów znajomości psychologii i który w przybliżeniu brzmiał następująco. „Najgroźniejszą rzeczą dla człowieka zaatakowanego, jest nic nie robić. To łamie jego odporność. Za wszelką cenę trzeba nakazać waszym ludziom, aby strzelali do samolotów, które ich atakują. Jeśli chodzi o samoloty, nie wiele im to zaszkodzi, wyjąwszy wypadek jeden na dziesięć tysięcy. Lecz jeśli chodzi o ludzi, pomoże to im wytrzymać uderzenie". W tym leży istota rzeczy. Często cytuje się historyczne słowa: „Nie potrzeba mieć nadziei, aby podjąć inicjatywę". Być może, lecz to właśnie inicjatywa pozwala mieć nadzieję, a bierność przyprawia o rozpacz. Któż to dziś podtrzymuje poczucie nadziei? Niemal wyłącznie ci z socjalistów (lub komunistów), i chrześcijan, którzy mają wiarę czynną. Dla nich świat posiada sens, i to sens uwarunkowany wysiłkiem człowieka. Mają coś innego do roboty niż przyglądać się i narzekać. Z tego co robią będą musieli zdać rachunek, tak jak już zdają rachunek wobec własnego sumienia. A że oni są dla świata i świat jest dla nich: nie są sami — o tyle, o ile dane jest człowiekowi nie być nim. Wyleczyli się z choroby wieku, ponieważ przeszli zatrucie tą chorobą i przysięgli się z niej oczyścić. Tutaj książka Friedmanna powraca do naszego argumentu: maszynizm nie jest już groźbą, odkąd, krok po kroku, zebrano się do jej przezwyciężania. Na tym polega oczyszczająca wartość pracy: większość książek zrozpaczonych, to książki próżniaków.

Jasne, że społeczeństwa dźwigające się buntują się przeciwko kryzysom zbiorowej zgorzkniałości. Rozczarowanych znajdujemy wśród Rzymian późnego cesarstwa, wśród libertynów kończącej się monarchii, wśród romantyków lub sceptyków, chylącej się do upadku burżuazji, — nie znajdzie-

(Dokończenie na str. 2)

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZIEMIA ŚWIĘTEGO JUSTA

Tydzień świąteczny spędzam daleko w przestrzeni i daleko w czasie. Przestrzenią jest spokojna szeroka dolina, dolina podgórska właśnie, a nie górska; zatem rozsiadła, jasna, podana wczesnym wschodom i późnym zachodom. Jest to — wciąż jeśli chodzi o przestrzeń — polskie południe i powietrze ma tu jakąś przejrzystą błękitność, jakąś miękkość i jakiś ciepły, żywy, koloryt, który czarem przypomina Zaleszczyki i Toskanię, Rodan i Nowy Sad. Jest tu p o g ó r s k i e bogactwo krajobrazu, — i człowiek odpoczywa po monotonii mazurskiej, po wielkiej równinnej czczości rozciągniętej pomiędzy martwotą ciemnych podberlińskich jezior i pylnymi szlakami brzozowej Białorusi. Opodal dolina rozszerza się i rozpłaszcza, przechodzi w nieckę jakby, i w samym środku owej niecki glebowej, jak zwał ciemnego ciasta, zwiesiły się wokół drewnianego podhalańskiego kościółka potężne, konarne lipy. Kościółek jest piękny w kształcie, budowie — cóż kiedy A. D. 1899 parafia, w przystępie niewczesnej hojności, powyrzucała stare, zbutwiałe pewno gonty i w ich miejsce pokryła dach blachą cynkówką. Wnętrze kościółka we wcześniejszej nieco epoce popaćkano hojnie barokiem i farbą i wydyma się to teraz wulgarnie. Ale lipy nie potrzebowały ani pokostu, ani nowego poszycia. Są piękne. Mają w sobie tę prostą, prawdziwą wielkość, rasę chciało by się rzec — jakież jeszcze słowo, dziś wykreślone ze słownika można by tu użyć? Podczas rezurekcji, gdy drewniany kościółek grał jak pudło skrzypiec, stojąc na zewnątrz, pod tymi lipami właśnie, liczyłem ich wiek. Po chwili wpatrzenia się poznawało się, że nie są jednakowo stare; było tego co najmniej trzy kategorie, generacje. Widać przychodził czasem wicher i obalał niektóre, poczem w ich miejsce sadzono nowe. Potem jeszcze nowsze. Tam skąd wichry tu wiejące były najsilniejsze. Nie trudno było dostrzec, że najgroźniejsze wichry to te z południa i ze wschodu. Lipy, okalające kościółek od zachodniej strony były najstarsze. Wypróchniałe mogły runąć od dawna. Pewno osłaniał je ten kościółek, w sobie zebrany, mocny, krępy jak chłop pogórski, cały zbudowany z ogromów modrzewiowych, jakich dziś nie ma na świecie. Modrzewie zresztą rosną w tych dolinach. Jest ich nawet dość wiele. Rudzieją z daleka na tle czerni świerków. Ale nie są to już potężne, mocarne modrzewie; takie jak te, z których stawiano ten kościół i dziesiątki, setki kościołów jak ten właśnie, jak on rozsypanych różańcem od Tymbarku po Biecz i dalej! Są to pawie wśród drzew; łabędzie; mohikanie. Ich żywica pachnie zachodem i śmiercią.

Wielkosobotnim wieczorem, kiedy gasły rezurekcyjne dzwony, po górach, przed lasami, w dolinie, wszędzie zapalały się tysiące świateł. Jasny wieczór dopiero — oraz statystyka — daje pełny obraz tego, jak tu jest tłoczno. Żałować można, że nie zawlecze się w te strony żaden zagraniczny litosiernik, rozumujący, że „skoro tylu Polaków zginęło w tej wojnie“ i „skoro Polacy mają dziś tyle ziemi“, to rzeczą najrychlejszą winno być nasze odejście z nad Odry i Warty. Może i dolnej Wisły? Ta dolina, ten kraj, to świat przeludniony. Nie przestał on rodzić dzieci i nie przestał krajać morgów. Dawno znikły dworskie, dziedzicowe, strzępiące się już od dawna, wreszcie ostatnim podrywem rozerwane na kawały. Było to tylko trzy lata temu, ale tu przynajmniej, można by sądzić, że było to temu trzy wieki. Rozpłynęło się niemal bez śladu. Po dawnemu chałupy się tłoczą. Po dawnemu brak tutaj morgów. Cóż może teraz przyjść, co przyjść tu musi? To tylko, że ludzie będą musieli stąd odejść. Dokąd? może do przemysłu — ale kiedyż produkcja stali z 1,5 miliona ton skoczy do sześciu, ośmiu, dziesięciu? Kiedy zza granicy przyjdzie sprzęt, który umożliwi t a k i e podniesienie produkcji i t a k i e, w następstwie idące, wchłonięcie ludzi przez przemysł? Ziemie Odzyskane? Tu i ówdzie pościekały z tego pogórza potoki co żywsze, bardziej rwące; ale masa tutejszych wód ludzkich nie spłynęła razem z nimi. Zatrzymała się tu. W cieniu tych lip, tego kościółka, tych wzgórz, tych modrzewi. „My, panie, schodzimy w niż, ale ku nam, panie, nie idą. U nas, panie, spokojnie. Swojo“.

Właściwie ów podgórski zakątek Polski, który nie jest ani Tatrami ani równiną Tarnowsko-Rzeszowską, ale właśnie takim krajem wzgórz i dolin, często i lasów jeszcze, spełnia, nie uznaną jeszcze, rolę jakowegoś matecznika narodowego w wielkim stylu. To nie to, że ludzie, formy, instytucje, zwyczaje i obyczaje, gdzie indziej zamarłe lub zanikające, mają tu jeszcze twardy, dębowy żywot. To nie tylko matecznik mickiewiczowski. To nie tylko rezerwat przeszłości. To jedyna część polskiej ziemi, którą Bóg nie położył otworem wiatrom, najazdom, przechodom. Może nie uczynił jej niedostępną; ale na pewno uczynił ją trudniej dostępną niż inne. Takie same kościółki jak w tej Łososinie, płonęły gdzie indziej pochodniami i za konfederatów i za Kościuszki w 1809, i w 1831, i w 1914. Takie same lipy były gdzie indziej ulubionym celem najeźdźczej artylerii. Tu nie. Lub mniej. Rzadziej. Oto właśnie. Prawda, były Gorlice w tamtej wojnie, a w tej padło śliczne, miłe, Jasło. Ziemie te nie byłyby polskie, gdyby nie płaciły haraczu wojnom. Ale nie płaciły go całym dobytkiem pokoleń a tylko częścią. To ważne. Przeto i w dni, kiedy horyzont świata zaciąga się chmurami, ludzie nie są tu zbyt skorzy do zejścia gromadnie z płachetek powtulanych w opiekuńcze doliny. Trwają, przyczajeni. Tu bowiem „spokojnie, swojo“.

Wieczorem rozchodzi się wieść, że do kościółka przyszedł diabeł. — Tak, to jest prawdziwy matecznik. — Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego — mówią — bo już był... — i cytują obce mi nazwy okolicznych wsi. Jak był tak blisko, musiał dojść i do Łososiny; ma przecież obejść 900 kościołów w Polsce, chyba nie mało? Nie, nie taki „ze wszystkiem prawdziwy“ diabeł. I następuje historia; oto tej zimy, pod Wieliczką, grupa „turoniów“, inaczej „herodów“, idąc drogą napotkała księdza jadącego do chorego z Panem Bogiem. Wszyscy rzecz jasna, poklękali; i sam Król Herod, i jego marszałek z mieczem. Nawet Śmierć z kosą licytowała w nabożności Trzech Króli. Tylko czarnoumazany chłopiec, będący „za diabła“ nie kląkł. — Jestem diabłem; nie mogę klęknąć — tłumaczył się. Ale na najbliższym postoju sadze nie dały się zmyć, a koźle różki ze skórą przyrosły do czaszki. Był „naprawdę“ diabłem. Zalecono mu odwiedzenie 900 kościołów w całej Polsce, chodzi zatem i chodzi, aby wrócić do dawnej postaci. Ukrywa się, nieborak, i nawiedza kościoły chyłkiem, świadom swej hańby. Ludzie, co pobiegli do łososińskiego kościółka, aby go ujrzeć, wracają zawiedzeni, lecz tylko przez pół. Nie, nie widzieli go, ale dlatego tylko, że ukrył się w zakrystii i niepostrzeżenie wyszedł. Tak zapewnia, w największej wierze, młody człowiek, który, sądząc z legitymacji partyjnej powinien udzielać mniej wiary sprawom nadprzyrodzonym.

Sprawy przyrodzone, zdawało by się, dostarczają tu dosyć powodów do zadziwień. W dolinie szerokiej i żyznej, w której potężna rzeka górska rwie nieujarzmiona, łyskają wśród kamieni jolki i świnki — ryby górskie; w październiku roi się od łososi. Ale za drugim wzgórzem, tym lesistym garbem jest inaczej. Pachną zgniło liście młodych buków, kiedy schodzimy w dół, gdzie przełyska poprzez drzewa szeroka roztocz jeziora. Ma wody o pięknej zieleni górskiej, przydymionej nieco osadami wapna. Po drugiej stronie, za tak rozlanym Dunajcem, ostry złom ruin zameczku Zawiszy Czarnego. Ku niemu w poprzek, zatrzymując wody w jezioro, biegnie betonem biała zapora rożnowska. Spiętrza te wody i rozlewa je tym jeziorem aż po kościoły w Zbyszycach i Tęgoborzu. W 1935, pamiętam rwała jeszcze dnem tej doliny górska rzeka; marne role i wikliny ciągnęły się pasem. Tu, gdzie teraz zapora, łoskotały siekiery w lesie, zgrzytały obrabiarki. Czerwone znaki wskazywały, kiedy będzie wybuch. Waliły się ściany łupkowe, osypywały się glinki. Powolni Białorusini, przybyli tu zza Mołodeczna ze swymi konikami — mierzynkami ugiętymi pod kabłąkiem „dugi“, rozdrapywali te usypiska do długich, ugiętych ku ziemi wozów. W jasnych domach Zarządu kierownicy budowy mówili po francusku. Wszystko było już niemal wykończone, kiedy w 1939 r. przyszli Niemcy. Postąpili jak z Biblioteką Jagiellońską. Dokonali uroczystego otwarcia ogłaszając całość dzieła jako „twór niemieckiej cywilizacji na Wschodzie“. Puścili o tym broszurę na Amerykę. Amerykanie, zawsze ufni wszystkiemu, co pochodzi z Niemiec, oczywiście wierzyli.

Kiedy to się tu budowało z owym hukiem i rozmachem, z sygnałami ostrzegawczymi, wybuchami min, białoruskimi konikami i francuskimi inżynierami, byłem pewien, że owa zapora zatrzymując wody poruszy drzemiący kraj. Kurne chaty góralskie oświeci elektryczność; mechaniczne motorki staną w każdej kuźni, stolarni stelmaszni; ruszą warsztaty, pędzone tanią siłą mechaniczną, fabryki (marzyłem jeszcze: i koleje), może elektryczne dojarki? Może farmy elektrycznością pędzone? Może jakaś druga Szwajcaria, czy Norwegia? Byłem jeszcze młody, podróżowałem mało. Czytałem za wiele obcych książek, za mało mówiłem z ludźmi w Polsce. Dziś nikt mnie nie zaskoczy wiadomością, że o parę kilometrów od już zbudowanej dawno zapory rożnowskiej po dawnemu stoją kurne chaty — i to nieraz jak najzamożniejszych gospodarzy, że ot, w tej chałupie, gospodyni śpi w jednym łóżku ze świnią, a i prosięta hodują się w izbie... w obawie (słusznej zresztą) przed szczurami. Rożnów swoim porządkiem, a tamto, co od XVII wieku gorszyło wszystkich cudzoziemców — nawiedzających Polskę — też swoim porządkiem. Tak to już u nas jest. Mogą gdzieś huczeć turbiny i pracować generatory, a tamto obok żyje swoim życiem, niezmienione, nieprzeorane, jednakie. Idą na wieś różne organizacje, referenci, powstają koła a jakże, są członkowie, nawet wpływają składki. No i dalej; locha w łóżku, prosięta w izbie, kurne chaty, XVII wiek. Matecznik broni się twardo. Przed obcym i przed nowym. Przed złem i dobrem.

W ciepłe popołudnie, kiedy już ozieleniają się pola, idziemy drogą, mijani, pozdrawiani. Ukłony są dla mego towarzysza. Jest nim profesor gimnazjum z sąsiedniej dużej wsi, Ujanowic. — Jest gimnazjum w Ujanowicach? — A jakże! — Ależ, chyba przed wojną...? — Uśmiech wzgardy.—Oczywiście, że przed wojną nie było gimnazjum w Ujanowicach; było za to podczas wojny — wyjaśnia. Tajne, konspiracyjne. Zbierano się po stodołach, szopach; wystawiano warty i czujki. Tu z daleka można było wykryć „granatowych“ lub Niemców. Organizatorem był ksiądz, dziekan z Ujanowic. Gdy spasione, narabowane szkopy poczęły zwiewać, gimnazjum stało się jawnym. Gdy przyszło tu państwo — stało się państwowym. — Historia prosta sobie, oto. — A jak to idzie? Jak to idzie? Dziewczyny i chłopcy z gór, robiąc po osiem kilometrów w jedną stronę, w śnieg, deszcz, błoto, przy potokach rozlanych, przebywanych w bród, idą do tego gimnazjum ranek w ranek, dzień w dzień. W przemoczonym obuwiu wysłuchują lekcyj. Wracają do domów jak stali. Do owych domów, gdzie nigdy nie ma światła, natomiast nierzadko są prosiaki. W tłoku jednoizbowej chaty odrabiają zadania. Na drugi dzień — to samo. Nauczyciel stwierdza, że nigdzie nie widział podobnego zapału. Oto jasny promień, który padł w matecznik. I przykład, klucz: iść siłami miejscowymi, poprzez tutejszych, światlejszych. Przybysz zrobi niewiele. Zmiana musi wyjść stąd. Od nich. Z ich łona. Ich drogami.

W pogodnym niebie nad Dunajcem płynie bezszelestny samolot. Szybowiec. Opodal, ponad wsią, słynną ongi ariańskim zborem (i arianie przeszli jedynie tym krajem, nie zapuścili korzeni, nie zmienili nic) — i przepowiednią, którą czasu wojny powtarzała cała Polska, jest szybowisko. Z góry nad lasem wystrzeliwują samoloty - szybowce, by obkrążać potem doliny, załom Dunajca, jezioro, wsie rozsypane. Wysoko nad lasem stanęły baraki mieszkalne. Co roku, w sezonie, kiedy wiatry są dobre, pomieszka tu kilkunastu ludzi. Będą wzlatywali na swym sprzęcie nad górę tęgoborską, zataczali półkola, lądowali. Odjadą. Zapora, szybowisko i wiele innych tu rzeczy i spraw — są eksterytorialne. Stoją poza tym, co tu się dzieje. Nie wywierają nijakiego wpływu. Nie przekształciły nic. Nie zmieniły niczego. Po dawnemu władze gminne dziwią się słysząc zapytanie, czy są tu jakieś biblioteki? Po dawnemu kurne chaty, locha w łóżku, prosięta w izbie. Jest kwiecień, rok 1948 Nie 1848. Nie 1748.—1948 I nie wiem czy dla tej ziemi, dla tego płachcia małego Polski, najpożyteczniejszym, jak dotąd jedynie płodnym, nie było skromne, dziekanowskie gimnazjum w Ujanowicach?

Nad Rożnowem, w zamku Zaw szy Czarnego (który musiał być cie jak orle gniazdo; niewiell a za to ostro wyrzucony w ni bo), wzrok idzie daleko. Tamt kraj to polska Nadrenia; to to, dla Francji dolina Loary; dla A glii pogranicze Walii; ziemia zal ków. Na szlaku do Węgier, sk królom sprowadzano żony i żołn rzy, szlachcie ciężkie wino, posp stwu świecidełka, rozsiadły się R tra, Czorsztyny, Melortyny, Olch wy, Wyczeszki, Stare i Nowe S cze. Broniono Polski z tej stron z której najmniej była zagrożon Musiał to być także olbrzymi w siłek włożony w to kiedyś. Dziś można zastanawiać się jak bard był płodny. Czy głęboko wsze w ten kraj, ponad który się dźw gnął! Czy mocno był weń wrośn ty. Co mu dał? Co zostawił? N innym zamku, poniżej Rożnow dotrwały rzeźbione w kamien smoki też takie jak w Prowa salii, jak w Palermo i Estren durze. Dziopy ze szkoły rolnic — chłopak zwie się tu „choc kiem“, dziewczyna „dziopą“ — p trzą zadziwieni. Im jest to ob Tkwiło tu, w kamieniu miejsc wym rżnięte, od kilku stuleci. P zostało obce. Smoki mitycz grzeją się w skąpym wiosenny cieple polskiego pogórza.

Natomiast z garbu, dzielące dolinę Dunajca od tej, którą p nie mała Łososina, swojsko ster przygarbiona, drewniana kapl świętego Justa. Święty Just j może tym świętym, którego in jest tu znane najbardziej — i na to nie pomoże fakt, że owe „świętego Justa“ próżno szukać kalendarzu, w poczcie świętych błogosławionych kościoła katol kiego. Ani, że poniektóry, młodszy, a nie tutejszy wika żżyma się na owo „święty“, czym prostuje, „pustelnik“. T był tu ongi taki pustelnik, Just (co przeszło na „Justa“), mieszk na tym garbie, gdzie dziś kapli ka na jego cześć stawiana ręko ludzi żarliwych, a prostych. — K dy to było? Nie wiedzieć. — W dle jednych, jeszcze niespełna lat temu, a wedle innych — c wieki. Czas jest tu rozciągłym jęciem. Trzeba by tu poślęczeć d żej; może znalazło by się dosyć m teriału na rozprawę doktorską. po co? Postać owego pustelnika sta oprzędło w międzyczasie ba lato rzewnej, ludowej legendy. śliby jej wierzyć, ów Just by obecny i przytomny wszystkim czasom. I tym, kiedy szumiały puszcze i kiedy nie było jeszcze Zbyszyc, ni Tęgoborza, nie mów już o Siennej, Kobylimgródku Młynnem, i tym kiedy „cysc wybierał podatki i rekruta. wiedzieć, kim był św. Just. Istn wersja uparta, że przybył gd z Francji, jest inna, że był skiego „rodu królewskiego“. We jednych popełnione zbrodnie sk niły go do pokuty; wedle inn przerost cnót kazał mu szukać Podhalu Tebajdy. Legenda, niep na co do czasu, w którym żył „ Just“, sporna co do jego poc dzenia, oraz motywów, jest za zgodna w dwóch innych przedm tach. Just ludziom pomagał i nie karał. Just nie wygła kazań, morałów, przypowieści. dochowało się ani jedno zdanie. Ani słowo. Natom Just pomagał ludziom zbła nym w kniei lub zamieci. przewoził ludzi przez wezbr potoki. Just przypędzał ubo kobiecie bydło zagubione w l Just pomagał drwalowi ura drzewa najcięższe i przestrze kędy padną. To wszystko — i le, wiele innych rzeczy robił Just. Dziś nie ma puszcz i ze ły zamiecie, a i potoki z gór o siałych nie niosą tyle wody zwierzu lutym słuch zaginął. garbie dzielącym dwie doliny no od gospodarstw i tylko na mym szczycie, skąd widać i Z szyce i Łososice, wznosi się J „Just“ to właśnie ten garb; jeszcze na owym garbie, drew na, jak niewielki kościółek, ka ca. Tu kiedyś, w głuszy głusz, ła pustelnia Justa. Stąd wła „czynił dobrze“.

Jest piękny, ciepły już wiec kiedy jesteśmy „na Juście“. Ś ci jasno roztocz jeziora, j stworzyli tu ludzie. Biało, po plicowskiemu, przezierają drzew ściany zbyszyckiego dw za Marcinkowicami rośnie grze gór. Za nami Kretówka połysl późnym śniegiem. Tam dalej ruiny Czechowa, a tam Wycz ki, a tu, gdzie krzyż tylko był kiedyś zamek tęgoborski. A tem były dwory i dwory. I warstwy historii polskiej kła się na glebie tych stron prze dziły, znikały, przesypywane c to nową. Cóż było nicią wsp pereł tego różańca? Oto wspom nie o człowieku obcym, który przyszedł, osiadł, żył życiem stron i czynił dobrze. Nie kró ny węgierskie tędy ciągnące Kraków; nie Zawisza Czarny, pół świata zwojował; nie Di Stadnicki i nie arianie z Tegobo Cichy, święty Just. Jakżeż nie gła się urodzić tu wiara, że święty Just i dzisiaj będzie płacheć ziemi chronił i strzegł.

Ksawery Pruszyński

JAN ŚPIEWAK

ELEGIA

Długo mieszkałem wśród śniegu dotykając się smutku
dni spalonych ołowiem i nocy zwęglonej pieśnią.
Przemykały się sarny w snach, tkliwe drzewa gasiły milczeniem.
Brnęły brzozy przez step, raniąc światło w ginących gałęziach.
Uderzało me serce o cień, zbrojna przestrzeń jak skała skrzydlata
poprzez lód, poprzez wiatr kruchą salwę gasiła obłokiem.
Kwitły oczy i dłoń, kwitły wargi i głos i na ścianach wspinała się zieleń.
Tylko dotknąć się warg, ująć dłoń, oddech ciepły w źrenicach się wkropli.
U wezgłowia Wasz głos, poprzez ściany Wasz wzrok, w nozdrza biją
strumienie jarzębin. Stada godzin i wron krążą w mroku własnego spojrzenia.
Krok oddechu się rwie i z zawiei na skroń ślepa trawa uderza siwizną.
Zamieszkując mój strach, burze biły gasnących oddaleń. W tłumie liści i drzew
Zmarłe ptaki płynęły ku ogniom.
Nie patrz w liść ani w śnieg
jeśli w smutek ubrany chcesz odejść. Dotkniesz brzozy a płacz
z kory sfrunie, u nóg, gołąb, księżyc i wystrzał i północ.
Nie patrz w noc ani w dzień, ani w skwar ani w chłód, depczą oczy
tęsknotę a zieleń dno rzek krwawi, by znów biegły drogi zbłąkane mijaniem.
Wyście obłok i dni, Wyście gałąź i śnieg, Wyście step lodowaty i brzoza.
W Waszych palcach jest piach, w moich oczach Wasz głos chyli noc
ku strumieniom jasności. Bezwład chmur, lot kamieni i skok, krzaków
zbiegłych w popłochu, jak zgadnąć, gdzie jest skroń a gdzie szloch
i gdzie klęczą gołębie bezgwiezdne. W Waszych skroniach tkwi lęk,
W Waszych rzęsach jaskółka przekłuta. Na policzkach mych biel, płonie
ziemi płynącej dokoła, topol, jodeł i brzóz i wąwozów o cieniach zastygłych.

WOJOWNICY NADZIEI

(Dokończenie ze str. 1)

my ich między pierwszymi chrześcijanami, ani wśród burżuazji w okresie jej rozkwitu ani u młodych mas socjalistycznych. Obok tych ostatnich należy zanotować, powstanie silnego prądu we współczesnej myśli katolickiej, który ma na celu przeciwstawienie się ponuremu prorokizmowi, napiętnowanemu powyżej. Wracają do głosu, szczególnie we Francji, pierwsi Ojcowie Kościoła, ich tryumfalna wizja człowieka, ich szlachetne rozumienie historii, przypominają się parabole o Królestwie Bożym, które wzrasta powoli między nami, a to już wyklucza, aby ten świat miał być sprawą przegraną i pogrążać się w upadku. Przypływ optymizmu kosmicznego i historycznego przenika liczne prace teologów. Jeżeli chrześcijanie pójdą za nimi i nie ulegną romantycznej pokusie katakumb, ani ociągania się w wypełnieniu swego ludzkiego posłannictwa wielkie jutro stoi przed sprzysiężeniem nadziei.

Emmanuel Mounnier

przełożyła **Anna Bartling**

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia“. Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za książki: „Nowele włoskie“ i „Nowa miłość“.

Skład jury i wysokość tegorocznej nagrody podamy w jednym z najbliższych numerów

EDMUND OSMAŃCZYK

Berlin – wyspą nieznana

Berlin, w kwietniu 1948.

BERLIŃCZYCY

Ze wszystkich stolic Europy od lat dziesięciu Berlin z uporem przykuwa uwagę całego świata.

Dziwne są losy tego brzydkiego olbrzymiego miasta, zbudowanego bez potrzeby ludzkiej, a z potrzeby wyłącznie politycznej na grząskich błotach łużyckich. „Ukamieniowana ziemia" — mówią o Berlinie stare baśnie połabskie Otoczony lasami i jeziorami, pełnym uroku nizinnym krajobrazem, Berlin przypomina ogromny kamień młyński porzucony w zieleńcu. Oczywiście, dziś poszczerbiony to kamień i stratowany silnie zieleniec.

Berlińczycy — dziwnymi też są ludźmi. Sobki o niespodziewanych odruchach serca rzeczowi z domieszką ukrywanego sentymentalizmu, dowcipni w sposób suchy, zwięzły, ale o wyobraźni obejmującej tylko własny humor, światowi swoim światkiem („Berlin ist doch eine Weltstadt"), nierozgarnięci, gdy się ich pytać o ulicę odległą o 200 metrów od ich miejsca zamieszkania rozgarnięci, gdy mówią o Śląsku, czy Saarze, które to ziemie uważają za włości miasta stołecznego Berlina, „rasowo" — mieszanka krwi francuskiej (hugenoci), łużyckiej, polskiej i wreszcie niemieckiej, politycznie — pruscy, „klasowo" — drobnomieszczańscy zarówno w warstwie górnej jak i dolnej „proletariackiej", posiadają Berlińczycy ogromne poczucie wyższości nad resztą rodaków i nierodaków, co jednak nie przeszkadza podporządkowaniu się tym wszystkim, którzy sprawują nad Berlinem władzę. Buntują się niechętnie i to na bardzo krótko, przypadkową zaś rewolucję 1848 roku nazwali nie „Wiosną Ludów" lecz „rokiem szalonym" (Das tolle Jahr).

W 1918 roku zdemobilizowani żołnierze zrobili w Berlinie „rewolucję listopadową", były to jednak w rzeczywistości okrzyki na cześć nowej władzy, którą z rąk uciekającego Cesarza przyjąć musieli, szczerze zaniepokojeni tym faktem berlińscy socjaldemokraci. Lata Weimarskiej Republiki podważyły mieszczański spokój Berlińczyków. W rozterce wyboru między dwoma głównymi głosicielami „nowego porządku" — komunistami i hitlerowcami — podzielili się berlińczycy na dwa obozy, lecz kiedy zwyciężył „porządek hitlerowski" zjednoczyli się szybko, obojętny był im bowiem rodzaj „porządku". „Czerwony" Wedding — przedmieście północne Berlina — który jeszcze w marcu 1933 roku stawiał zbrojny opór bandom SS, 12 lat później w kwietniu 1945 stawiał najzacietszy, poza Kancelarią Rzeszy — opór.

Po katastrofie rozsądny dowcip Berlińczyka wyjaśnił brak oporu kobiet berlińskich, wobec okupantów kuplerskim przysłowiem: „Lepiej mieć wroga na brzuchu niż bombę na dachu" (Lieber einen Feind auf dem Bauch, als eine Bombe auf dem Dach").

Pod wymalowanymi na ruinach domów smołą napisami propagandowymi Goebbelsa: „Berlin bleibt Berlin" (Berlin pozostanie Berlinem), dla pokazania swej spóźnionej roztropności politycznej, Berlińczycy dopisywali słowa: „Aber nie wieder mit Hitler" (Lecz już nigdy z Hitlerem"). Nawet w kancelarii Rzeszy na bunkrze, w którym Hitler rozsadził sobie czaszkę strzałem w usta, jakiś berlińczyk nauczony doświadczeniem wymalował krzywymi literami, to pochwały godne przyrzeczenie: „Nie wieder Hitler!" (Nigdy więcej Hitlera). Jakiś żołnierz sowiecki, zwiedzający Berlin też nauczony doświadczeniem, dopisał pod tym kredą po rosyjsku: „Poprobuj! — Iwanow".

Oczywiście żaden berlińczyk po maju 1945 roku nie popróbował. Ostrzeżenie żołnierza Iwanowa było i jest zbyt namacalne i bliskie, aby móc marzyć o „porządku hitlerowskim". Okupacja Berlina wniosła jednak, jak ongi Republika Weimarska, rozterkę wśród Berlińczyków, którym przypadło żyć w czterech sektorach pod czterema różnymi władzami, pod władzą magistracką niemiecką (stąd mało autorytatywną), wreszcie pod władzą wspólną Alianckiej (skłóconej wewnętrznie) Komendantury. Ta Aliancka Komendantura jest właściwie władzą nadrzędną magistratu berlińskiego i doprawdy potrzeba było dużego powikłania dziejów ludzkości aby magistrackie spory w Berlinie przedstawicieli czterech mocarstw mogły odbijać się tak głośnym echem w całym świecie i wywoływać panikę nawet za oceanem Słowo „Berlin" po drugiej stronie Atlantyku — jak mogłem to stwierdzić w czasie mej podróży po Ameryce — posiada dziś magiczną wprost siłę, która jak bumerang uderza z kolei zrozpaczonych koniecznością wyboru berlińczyków.

Sprawa nie jest prosta. W oczach berlińczyka Berlin jest nadal pępkiem świata. Nie Łaba, lecz Brama Brandenburska dzieli świat na dwa wrogie obozy. Unter den Linden, z ciągle jeszcze uwięzionym w betonowym obudowaniu pomnikiem Fryderyka II-ego, spalonym zamkiem królewskim i odbudowującym się uniwersytetem to już „Wschód". Po drugiej zaś stronie Bramy Brandenburskiej kartoflisko dawnego Tiergartenu i spalony Reichstag — to już „Zachód", co prawda speszony pomnikiem Sowieckiego Żołnierza ustawionym w czasie Konferencji Poczdamskiej w sektorze brytyjskim w Tiergartenie.

18 marca 1948 roku rozterka i niepokój Berlinczyków znalazły swój wyraz w dwu obchodach stulecia „Wiosny Ludów", czyli jak mówią Berlińczycy „szalonego roku". Na „Wschodzie" w pobliżu Unter den Linden odbywał się Kongres Ludowy pod hasłem „Jedności i Pokoju". Na placu przed Reichstagiem, uporządkowanym poprzedniego dnia przez buldozery armii brytyjskiej i amerykańskiej, odbywał się wiec Niemców „zachodnich" pod hasłem „Wolności i Demokracji". Z takiego podziału sądzić było by można, że Jedność i Pokój są przeciwieństwem Wolności i Demokracji i odwrotnie. Mówcy przed Reichstagiem, zgodnie z ustalonym programem, atakowali ostro „Wschód". Z trybuny, z której przemawiali, widać było puste pole dawnego Tiergartenu, obsiane kadłubami gipsowych posągów Kurfuerstów, „zdobiących" niegdyś piękny park w sercu Berlina. W środku pola przykrótka Kolumna Zwycięstwa, przybrana była flagą francuską, jako że zbudował ją Bismarck po zwycięstwie nad Francją pod Sedanem. Na wprost zaś trybun uderzał masywny blok pomnika Sowieckiego Żołnierza, stojący między Bramą Brandenburską a Kolumną Zwycięstwa. Spiżowy żołnierz widoczny był od tyłu, ponieważ twarzą zwrócony jest na południe. W chwili, gdy Jakub Kaiser, przywódca, „zachodnich" Niemców Berlina wygłaszał przemówienie, ktoś z tłumu zawołał: „Uważaj Kuba, żeby się żołnierz rosyjski nie odwrócił w twoją stronę!". — Jakub Kaiser obejrzał się jednak za siebie, gdzie na trybunie honorowej zasiedli w mundurach obserwatorzy alianccy: Amerykanie, Anglicy i Francuzi i pokrzepiony na duchu „zachodnim" zapleczem, atakował dalej.

Padał deszcz Parę tysięcy ludzi mokło pod parasolami, mówcy chrypli, zakatarzeni. Berlinczycy wracali do domów z coraz większą rozterką w umysłach.

Sprawa nie jest prosta. W oczach Berlińczyka „porządek aliancki" załamał się. Władza niemiecka — co za czasy — przestała być autorytetem. Władza okupantów? — ba ale którego okupanta należy słuchać, któremu zaofiarować wrodzony zmysł posłuszeństwa? Amerykanie twierdzą, że Berlina nie opuszczą. To samo mówił przed trzema laty gen. Baerenfaenger, ostatni niemiecki dowódca Berlina. I uciekł. A zresztą — to jest najdziwniejsze — Rosjanie nie powiedzieli dotąd ani jednego oficjalnego słowa, że zachodni okupanci Niemiec mają opuścić Berlin! Tymczasem ci okupanci co drugi dzień od trzech miesięcy składają gromkie oświadczenia o pozostaniu w Berlinie, choć ich nikt nie wyprasza — „Chcesz się dowiedzieć prawdy, czytaj tylko w prasie sprostowania!" — mówi berlińskie przysłowie. Czyżby Amerykanie chcieli opuścić Berlin pod pozorem, że zostali do tego zmuszeni?

MŁODA STOŁECZNOŚĆ

Stołeczność miasta Berlina dla całych Niemiec nie osiągnęła jeszcze stulecia Stolicami Rzeszy były kolejno Akwizgran, Kolonia, Augsburg, Wormacja, Trewir, Praga, Wiedeń, Monachium, a w latach 1815—1866 Frankfurt nad Menem. Dopiero Bismarck w roku 1871 uczynił ze stolicy Prus, Berlina, stolicę Rzeszy. Republika Weimarska potwierdziła decyzję Bismarcka. Lecz już w łonie ruchu hitlerowskiego dyskutowano szeroko w latach 1927 — 1930 nad przeniesieniem stolicy przyszłej Trzeciej Rzeszy do Monachium. Przesądził los Berlina ambitny Józef Goebbels, który wygrał „program wschodni" partii nacjonalsocjalistycznej, na korzyść miasta, którego był pierwszym i ostanim „Gauleiterem". Tak po raz trzeci Berlin stał się stolicą Trzeciej z kolei Rzeszy.

SZTNDARY, SZTANDARY

2 maja 1945 roku Berlin zdobyty został przez wojska radzieckie. W walce o miasto brała udział również Pierwsza Armia Polska gen. Popławskiego, której zadaniem było wbicie klina od zachodu. W nocy z 1-go maja na 2-gi oddziały sowieckie, które zdobyły Unter den Linden, atakując od wschodu, spotkały się przy Kolumnie Zwycięstwa z oddziałami polskimi, które dotarłszy do Tiergartenu, mając za sobą zwycięską walkę o operę i politechnikę Charlottenburską, zdobyły bismarckowską Sieges-Saüle. Flaga polska zatknięta tego dnia na szczycie Kolumny została po Konferencji Poczdamskiej zmieniona przez Anglików, którym ta część miasta przypadła w udziale okupacji, na flagę francuską Był to rycerski gest Anglików wobec Francuzów, którym Kolumna przypomina Sedanową klęskę. Mogli co prawda zburzyć Kolumnę, a lufy armat francuskich z 1870 r., którymi „oblepiona" jest Kolumna, przesłać do Paryża. Wrodzona jednak Anglikom niechęć do demontażu w Niemczech powstrzymała ich od tego zbyt radykalnego kroku.

Przez dwa i pół miesiąca, tj. do 15 lipca 1945 roku, Berlin był miastem okupowanym wyłącznie przez wojska sowieckie. Berlińczycy, choć nie proszeni o to, dla podkreślenia swej radości, że mają znów jedną zdecydowaną władzę, której muszą podlegać, przybrali swe domy czerwonymi flagami. Można było sądzić, że Berlin zawsze był i jest komunistyczny. Do żołnierzy sowieckich a nawet i polskich próbowali się zwracać per „Genosse" — „Towarzyszu!", a proszeni o legitymację partyjną w zmieszaniu bełkotali obelżywe słowa na Hitlera. 15 lipca 1945 roku w trzech czwartych miasta, gdzie pojawili się żołnierze angielscy, amerykańscy a na końcu francuscy, znikła jednobarwność flag. Nocami szyto gwiaździste sztandary United States of America, pasiaste flagi United Kingdom i trójbarwne proporce Republique Française. Roztropność nakazywała jednak wywieszać cztery sztandary czterech zwycięzców... razem. Dopiero po Konferencji Poczdamskiej, kiedy stało się pewne, że Berlin pozostanie z kolei stolicą Sojuszniczej Rady Kontroli, a miasto na czas okupacji podzielone będzie na cztery sektory, mieszkańcy każdego sektoru Berlina ograniczyli swoją sztandarowość do flagi tylko jednego okupanta, oczywiście swojego sektoru.

Kiedy po deszczowym obchodzie stulecia „szalonego roku" gen. Clay wydał bombastyczne orędzie do Berlińczyków ci przyjęli je bardzo chłodno, z widocznym niesmakiem. Orędzie — śmieszne bardzo — brzmiało:

„Odwaga Niemców, którzy w czwartek 18 marca demonstrowali przed gmachem Reichstagu na rzecz wolności i demokracji, może nam dodać otuchy. Wielotysiączna masa Berlińczyków udowodniła swą wiarę w demokrację, demonstrując mimo zimna i ulewnego deszczu".

Ten bohaterski wyczyn antydeszczowy zakatarzonych Berlińczyków, stojących w kaloszach i z parasolami przed Reichstagiem, doprowadził gen. Clay'a do bardzo niezwykłego i zabawnego wniosku:

„Fałszem jest — pisał w zakończeniu orędzia gen. Clay — że naród niemiecki nie jest zainteresowany w demokracji. Przeciwnie obchód 18. marca dowiódł, że w Niemczech są siły gotowe do walki o wolność i demokrację, a w wypadku konieczności gotowe są nawet **umrzeć** za te ideały".

Odezwę tę w całości wydrukował tylko dziennik sektoru amerykańskiego „Der Tagesspiegel". Organ dra Schumachera w sektorze brytyjskim „Der Telegraf" opuścił ostatnią część zakończenia: „a w wypadku konieczności gotowi są nawet umrzeć za ideały wolności i demokracji!" Socjaldemokraci berlińscy spod znaku Schumachera, jak widzimy, uznali pewność gen. Clay'a za przesadną, a dziennik sektoru francuskiego „Der Kurier" opublikował ją w rubryce... humoru, redagowanej przez znanego satyryka Hansa Kaspera, który z całego orędzia dał tylko jedno zdanie, to właśnie, które opuścił „Der Telegraf", a od siebie dał tylko wymowny, kpiący tytuł: „Piękne widoki na przyszłość!"

Berlińczycy nie lubią umierać. W roku 1848 przypadkowa rewolucja („wywołali ją panowie Polacy, bo im tylko była potrzebna" — napisał w 1898 roku historyk „szalonego roku" Hans Blum!) kosztowała Berlin 187 istnień ludzkich. W roku 1918 odbyło się bez ofiar. W kwietniu 1945 roku szaleństwo obrony Berlina kosztowało ponad 187.000 żyć ludzkich. Gen. Clay popełnił nietakt. Berlińczycy zaczęli wątpić, czy należy brać wypowiedzi Amerykanów poważnie.

MIĘDZY „WSCHODEM" A „ZACHODEM"

Tworzenie Niemiec Zachodnich, jako bazy podstawowej „Planu Marshalla" zaniepokoiło Berlińczyków. Frankfurt nad Menem zgłaszał nagle swe prawa z przed 80-ciu lat do stania się stolicą przyszłej IV-tej Rzeszy. Wtedy to socjaldemokrata berliński Konrad Mommsen wysunął projekt, aby siedzibą rządu Niemiec Zachodnich zrobić Berlin. Rząd taki w odniesieniu do Niemiec Wschodnich byłby — jak to określił — „Der Tagesspiegel" — rządem „emigracyjnym", biskupstwem in partibus infidelium. Ze strony alianckiej spełnione by musiały być wówczas, wg. Mommsena, następujące warunki:

1. Oddanie do dyspozycji Niemcom odpowiedniej ilości pomieszczeń na biura rządowe. Ponieważ Frankfurt nad Menem jest bardziej zniszczony niż Berlin (gmach IG-Farben we Frankfurcie, w którym obecnie mieści się Rada Gospodarcza Bizonii jest zajęty w połowie przez Zarząd Militarny Amerykański, nie wystarcza na siedzibę całego „rządu"), należy pomieszczenia znaleźć w Berlinie.

2. Należy stworzyć sprawną komunikację między Berlinem a strefami zachodnimi. Wprowadzona z dniem 1.III.1948 przez American Overseas Airlines linia lotnicza Berlin — Frankfurt dla Niemców jest niewystarczająca. „Należy — pisał dosłownie Mommsen — **żądać** poza tym regularnego nocnego pociągu służbowego dla przedstawicieli władz niemieckich Frankfurt n. M. — Berlin, z którego korzystać będą mogli wszyscy, legitymujący się odpowiednimi papierami. **Na granicy stref (sowieckiej i brytyjskiej) winna być zachowana uproszczona kontrola, taka jakiej dotychczas podlegają Niemcy podróżujący alianckimi pociągami wojskowymi** (to jest żadna — przyp. mój). Poza tym dla normalnego ruchu osobowego między Zachodem a Berlinem muszą być wprowadzone regularne pociągi dzienne na trasach Hamburg — Berlin, Kolonia — Berlin, Frankfurt n. M. — Berlin i Monachium — Stutgart — Berlin".

„Władze amerykańsko-angielskie należy poprosić, aby uzyskały zgodę Rosjan na tego rodzaju polepszenie komunikacji między Zachodem a Berlinem. W pertraktacjach — kończy swe rady dla aliantów zachodnich Konrad Mommsen — należy wskazać na to, że ulepszenie komunikacji jest warunkiem wstępnym, tak pożądanej przez wszystkich aliantów jedności gospodarczej i politycznej Niemiec. Nie można przypuszczać, aby Rosjanie przez odrzucenie tego żądania (durch Ablehnung dieser Forderung) zechcieli wziąć na siebie odpowiedzialność za uniemożliwienie realizacji gospodarczej jedności Niemiec".

Berliński doradca Anglosasów zyskał sympatię dla swego projektu i w Berlinie i w Hannoverze i we Frankfurcie nad Menem Projekt Mommsena od lutego br. dyskutowany był szeroko w zachodnich kołach politycznych, a w końcu marca dwutygodnik dra Schumachera „Das Sozialistische Jahrhundert" zdecydował się ogłosić drukiem memoriał berlińskiego socjaldemokraty. „Das Sozialistische Jahrhundert" spóźnił się jednak z ogłoszeniem projektu Mommsena. W ostatnich dniach marca i w pierwszych dniach kwietnia 1948 r. zaszły nowe fakty o politycznym znaczeniu, zmieniające zasadniczo możliwość realizacji śmiesznego planu zrobienia z Berlina, leżącego w środku Niemiec Wschodnich stolicy Niemiec Zachodnich! Berlin za zgodą władz sowieckich miał stać się siedzibą „rządu" podziałowców Niemiec marshallistów niemieckich, zajmujących oficjalnie i nieoficjalnie zdecydowanie wrogi stosunek do okupacji radzieckiej!



Mapa okupowanych Niemiec.

HISTORIA PRIMAAPRILISOWEJ „BITWY O BERLIN"

Przygotowania czynione od roku przez Anglosasów, do wykorzystania Berlina jako bastionu antysowieckiego w środku strefy sowieckiej, mogły rzeczywiście wywołać zamęt w umysłach Berlińczyków i rodzić plany w stylu Mommsena. Rachunek był robiony bez gospodarza. Otrzeźwienie przyszło w porę.

W dniu 26 marca 1948 r. władze sowieckie wydały szereg zarządzeń, normalizujących ruch osobowy i towarowy między Berlinem a strefami zachodnimi. Szereg dotychczasowych przepisów zostało ujednoliconych i zgodnie z obowiązującymi w całym świecie przepisami tranzytowymi w dniu 1 kwietnia br. wprowadzonych w życie.

Ruch osobowy i towarowy odbywał się zgodnie z umową 4 mocarstw z lipca 1945 r. na trasie Berlin — Helmstadt, to jest wzdłuż autostrady i toru kolejowego, łączących Hannower w strefie brytyjskiej z Berlinem. Dwustukilkumetrowa trasa Berlin — Helmdstadt przebiega przez strefę sowiecką i wykorzystana jest również przez mieszkańców tej strefy.

Dotychczas było zwyczajem, nie wynikającym z umowy, lecz z uprzejmości Rosjan, że pociągi i samochody t. zw. „militarne" trzech mocarstw zachodnich nie były kontrolowane przez władze sowieckie, natomiast kontrolowane były pociągi i samochody nie wojskowe, którymi jeździli Niemcy, legitymujący się t.zw. „paszportami międzystrefowymi" (Interzonenpass), lub osoby innej narodowości, posiadające paszport swego państwa i wizę tranzytową sowiecką. To samo odnosiło się do transportów towarowych „wojskowych" i „niewojskowych".

Nie było jednak żadną tajemnicą, że pociągami „wojskowymi" przewozili alianci zachodni osoby i towary, nie mające nic wspólnego z administracją wojskową mocarstw zachodnich. W ten sposób bez kontroli sowieckiej, lub zezwolenia towarowego sowieckiego i wizy tranzytowej sowieckiej odbywał się wwóz i wywóz osób i towarów poprzez strefę sowiecką do i z Berlina, za które to miasto współodpowiedzialny jest przecież i okupant sowiecki... Skoro ze wspólnej władzy nad Niemcami pozostała już tylko wspólna władza nad Berlinem — ta ostatnia platforma 4 mocarstw w Niemczech — Rosjanie słusznie ograniczyli precedensowe przerosty uprawnień anglosaskich w Berlinie, ponieważ przerosty te zmniejszały do zera kontrolę sowiecką nad miastem, które leży — podkreślmy to raz jeszcze — w środku strefy sowieckiej.

Ani w środku strefy brytyjskiej ani amerykańskiej ani francuskiej nie ma tego rodzaju punktów, w których okupanci sowieccy mieliby prawo wwozu i wywozu osób i towarów bez kontroli okupantów zachodnich do i ze swojej strefy. Nie mówiąc już o budowaniu radiostacji, czy o urządzaniu wieców np antyamerykańskich w środku strefy amerykańskiej.

Część Berlińczyków uważając przerosty uprawnień amerykańskich w Berlinie za dowód słabości Rosjan, poczęła coraz śmielej prowadzić kampanię antysowiecką, wiedząc, że w razie konieczności znajdą ochronę u Amerykanów i niekontrolowaną przez Rosjan drogę na zachód pociągami „militarnymi" Anglosasów.

Dodajmy, że pomiędzy sektorami sowieckim a innymi sektorami Berlina (przypominam, że Niemcy podzielone są na strefy, Berlin na sektory) ruch osób i towarów odbywa się bez czyjejkolwiek kontroli, a zatem Niemiec podlegający władzom sowieckim z racji mieszkania w sektorze sowieckim, mógł jeśli to było potrzebne władzom np. amerykańskim, wyjechać sam lub z towarem np. do Frankfurtu nad Menem pociągiem „wojskowym" amerykańskim i nie podlegał żadnej kontroli właściwych mu władz sowieckich. To samo zresztą mógł zrobić mieszkaniec już nie sektoru Berlina, lecz strefy sowieckiej, ponieważ trudno odgrodzić obszar miasta ośmiokrotnie większego od Warszawy w sposób idealnie szczelny od prowincjonalnej okolicy. Łatwość przenikania z Berlina do strefy sowieckiej i z strefy sowieckiej do Berlina jest powszechnie znana.

Dopóki wspólna władza nad Niemcami nie uległa zawieszeniu, dopóty stan taki nie był niebezpieczny. W ostatnim jednak czasie dziki ruch osobowy i towarowy nabrał znaczenia politycznego kiedy coraz częściej pociągi „wojskowe" służyły do przewożenia polityków i „rechercheurów" niemieckich, sprowadzanych do Berlina, lub wywożonych z Berlina dla prowadzenia agitacji.. antysowieckiej. O tym, że miasto tak centralnie położone posiada wszystkie dane do stania się centralą szpiegowską wspominać nie potrzebuję. Znana jest głośna sprawa afery szpiegowskiej, schwytanego w strefie sowieckiej w lutym br. majora niem. sztabu gen. Pinkerta, przybyłego z Frankfurtu nad Menem, a mającego swą bazę w Berlinie.

Władze radzieckie posiadające dość dowodów nadużycia „tunelu międzynarodowego" Berlin — Niemcy Zachodnie, wykazały niezwykłą powściągliwość, ograniczając się wyłącznie do wydania szeregu przepisów.

„POWIETRZNY MOST"

Amerykanie zaprotestowali gwałtownie. Początkowo nie wiadomo było dlaczego. Przecież ich prawa zostały nienaruszone, każdy Amerykanin, Brytyjczyk czy Francuz może przejechać trasę Helmstadt—Berlin, jak każdy dyplomata w całym świecie, to jest bez rewizji, a za okazaniem tylko swych papierów.

Kłopot powstał tylko dla tych osób innej narodowości i dla tych Niemców, którzy dotąd korzystali z bezwizowego a nawet z bezpaszportowego przejazdu „wojskowymi" pociągami.

Właśnie w tym czasie jednak Kongres uchwalał „Plan Marshalla". Potrzebna więc była propagandzie antysowieckiej jakaś sprawa, która by poruszyła Kongresmenów. Z obowiązku... pokazywania paszportów amerykańskich granicznej kontroli sowieckiej, zrobiono sprawę prestiżową. Odmówiono tego, czego nawet Marshall, przejeżdżający do Londynu, Paryża czy Moskwy nie ma prawa odmówić tamtejszym władzom: — pokazania swego dyplomatycznego dowodu tożsamości. Jest to najzwyklejsza formalność w całym świecie przyjęta. Potrzebna jednak była burza w szklance wody. Clay wydał rozkaz, aby do pociągu nie wpuszczono kontrolujących oficerów sowieckich. Wtedy ci, jak najgrzeczniej — stwierdzają to wszyscy Amerykanie — oświadczyli, że pociągu nie puszczą do Berlina. Pociąg cofnął się do Frankfurtu, a gen. Clay wydał rozkaz stworzenia „powietrznego mostu" między Berlinem a strefą amerykańską i polecił przewożenie wszystkich pasażerów i towary samolotami.

Brytyjczycy dość niechętnie postanowili się zsolidaryzować z Clay'em, jeszcze niechętniej uczynili to Francuzi. Oba te bowiem mocarstwa nie mają ochoty na kosztowne prestiżowe „powietrzne mosty" (300 000 dolarów dziennie!), skoro mogą bez ograniczeń wozić ludzi i towary pociągami i samochodami. W trzecim już dniu Brytyjczycy lojalni wobec wspólnie postanowionego bojkotu pociągów, zorganizowali transport... autobusami. Dwa dodatkowe samoloty dziennie stanowią prestiżową „kładkę powietrzną" bardzo skromną przy 50 samolotach amerykańskich.

Komunikacja samochodowa autostradą, zakazana w pierwszym dniu przez gen. Clay'a została po kilku godzinach wznowiona przypomniano sobie bowiem, że zawsze na autostradzie kontrolne punkty sowieckie sprawdzały paszporty (bez rewizji bagażów) a „eksterytorialność" miały zwyczajowo tylko pociągi.

Panika w Berlinie ograniczyła się do sektoru amerykańskiego 63 rodziny amerykańskie spośród 1200 rodzin tu stacjonujących nie wytrzymały „nerwówki" i opuściły samolotami Berlin.

Ostatecznie „bitwa o Berlin" skończyła się śmiesznym kompromisem. Niemcy mają regularnie chodzące pociągi, którymi jeżdżą za „paszportami międzystrefowymi" i kontrolowani są przez władze sowieckie. Amerykanie latają samolotami, co jest kosztowne i wymaga rezerwowania miejsca na kilka dni naprzód.

OCENA HANSA KASPERA

Satyryk berliński Hans Kasper w dniu największego naprężenia wydrukował jedno zdanie: „Alianci wszystkich krajów łączcie się!" A w kilka dni później taką rozmowę pt. „Jak to się czasy zmieniają":

„Ach" powiedział mi dziś Jonny, „gdybym to ja mógł być Niemcem!"

„Ależ Jonny" spytałem, „cóż to za pomysł?"

„No cóż" odpowiedział „mógłbym wtedy podróżować bez przeszkód".

A na zakończenie „kryzysu berlińskiego" napisał Hans Kasper, (który nb. nie jest przyjacielem „Wschodu") taką kpinkę na „zachodnich" alianckich apostołów, przyjeżdżających do Berlina:

„Pewien zagraniczny polityk, który w tych dniach osobiście przybył do Berlina wygłosił tu wielce ważną mowę, w której żądał od Berlińczyków aby mimo chaosu wytrwali w swej walce o wolność. Po przemówieniu — które było potężnym przypomnieniem obowiązku każdego człowieka walczenia do ostatka i gotowości zło-

(Dokończenie na str. 6)

PIOTR PAWLENKO przełożyła BARBARA MADUROWICZ

ROZMOWA O URZĘDNIKACH

Fragment powieści »Szczęście«

Dawno już minęło południe, gdy Woropajew wyszedł od generała, któremu przedstawił go Romanienko. Tym razem jadł śniadanie u towarzystwie jakichś nieznajomych sztabowców, oraz zastępcy komisarza ludowego. Rozmowy dotyczyły przebiegu posiedzenia i spotkanych uczestników Konferencji, kto co mówił, kto co zauważył, ale mimo że wszystko to było bardzo interesujące, Woropajew prawie nie przysłuchiwał się temu, o czym mówiono przy stole.

Był przejęty i znużony odbytą przed chwilą rozmową i, jeszcze znajdując się pod jej wrażeniem, rozważał, czy postąpił słusznie, czy nie popełnił błędów i nie wywarł ujemnego wrażenia. Znów — teraz już zupełnie oficjalnie — zrobiono mu zaszczytną propozycję powrotu do służby czynnej.

— Potrzebne są nam nie wasze nogi, lecz głowa i wasza umiejętność służenia wojsku piórem.

— Przybyłem tu dopiero miesiąc temu, a dziś jestem już aktywnym działaczem. Zresztą tu nie ma prawie nikogo do roboty.

— Nie boicie się utonąć w drobiazgach?

— Bynajmniej!

— A więc w takim razie — życzę powodzenia.

Rozmowa, oczywiście, była o wiele dłuższa i miała przebieg o wiele bardziej urozmaicony, ale teraz, gdy ją Woropajew odtwarzał w pamięci, tylko to wydawało mu się ważne i decydujące. Obiad jadł znów u Romanienki, po czym poprosił, by odesłać go do domu. Teraz, kiedy zrezygnował z powrotu do tego świata, czuł się w nim źle i obco.

Wyszli z Romanienką na dziedziniec, wysypany gruboziarnistym żwirem. Proteza jego ślizgała się po kamieniach.

— Gdy przyjedziesz do Moskwy po syna zadzwoń i przychodź — odezwał się Romanienko tonem pożegnania.

— Rozumie się. Tu przecież nudno. Do Moskwy przyjadę spragniony nowości — ugodowo powiedział Woropajew, żałując przez chwilę, że odciął sobie wszystkie drogi powrotu do stolicy.

— Głupio robisz, głupio, Aleksiej Wieniaminowicz... — bardzo serdecznie zaczął Romanienko, ale w tej chwili niespodziewanie zawołano ich, prosząc by powrócili, ale nie tam, skąd dopiero co wyszli, lecz do ogrodu z południowej strony pałacu.

— Czy mamy iść razem? — zapytał Romanienko, nie wiedząc co zrobić teraz z Woropajewem i oczekując odpowiedzi: „Nie, tylko wy, towarzyszu generale" — „Wy, tylko". Wtedy by można pożegnać się i odprawić Woropajewa.

— Nie, towarzyszu generale — tylko pułkownik.

Romanienko poczerwieniał jak wiśnia.

— Wobec tego, Aleksieju Wieniaminowiczu — rzekł nie patrząc na Woropajewa — ja pójdę do siebie, a ty, kiedy będziesz wolny, bierz mój samochód i wal do siebie! No, daj łapę!

Uścisnęli się pośpiesznie i Woropajew, wstydząc się za zachowanie Romanienki, pokuśtykał w ślad za swym nowym przewodnikiem. Skręcili za dom. Minęli wartę. Przewodnik zatrzymał się. Razem z nim zatrzymał się i Woropajew. Przewodnik spojrzał na niego zmieszany. Ześliznął się wzrokiem odrobinę w bok. W tym momencie Woropajew usłyszał głos, który trudno było by nie poznać.

— Proszę tutaj, towarzyszu Woropajewie, nie krępujcie się.

Woropajew jednak nie ruszył się z miejsca — nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Ujrzał Stalina.

W jasnym, wiosennym kitlu i jasnej furażerce stał Stalin obok staruszka ogrodnika przy krzewie winnej latorośli, która podkręconymi wąsami splatała się w wysoki szpaler na ścianie. Patrząc na Woropajewa, przekonywał jeszcze ogrodnika o czymś, co ich obu — widocznie — bardzo interesowało.

— Spróbujcie w ten sposób, nie bójcie się — mówił Stalin — sam się przekonałem, niezawodne.

Ogrodnik rozkładał ręce, patrząc z zakłopotaniem, a równocześnie z dziecięcym zachwytem, na swego rozmówcę.

— Przeciwko nauce, jakoś straszno, Józefie Wissarionowiczu. Za cara jacy byli u nas specjaliści, a — nie ryzykowali.

— Wielu rzeczy oni nie ryzykowali — odparował Stalin. — Za cara ludzie też źle rośli, więc cóż — nie należy się z tym liczyć. Trzeba eksperymentować odważnie! Winogrona i cytryny są nam potrzebne nie tylko w waszych krajach.

— Klimat, Józefie Wissarionowiczu, staje na przeszkodzie. Przecież to delikatna i wrażliwa roślina, gdzie ją wydać na mróz! — wskazywał ręką na winną latorośl.

— Przyzwyczajajcie do surowych warunków, nie bójcie się! My obaj jesteśmy przecież z południa, a jakoś nie źle czujemy się na północy — odpowiedział Stalin i zrobił kilka kroków na spotkanie Woropajewa.

— Oj, Boże, Boże — szepnął ogrodnik.

— Do robienia głupstw to on pierwszy a gdy trzeba za nie odpowiadać, to go z miejsca nie ruszysz — rzekł Stalin i Woropajew ujrzał z przerażeniem, że już zbliża się ku niemu, wyciągając rękę i uśmiechając się swoim wszystko ogarniającym uśmiechem. — Opowiadano mi, że w tutaj kołchozy do ataku prowadzicie. Bardzo to interesujące, chociaż może zdanie nieupełnie słuszne.

Stalin przywitał się i, nie wypuszczając ręki Woropajewa, przyprowadził go do stolika, gdzie w jednym z wyplatanych foteli siedział Wiaczesław Michajłowicz Mołotow. Podprowadził do niego co chwila urzędnicy ze służby dyplomatycznej i coś na ucho przedkładali, on zaś odpowiadał półgłosem. Ręce jego zajęte były papierami. Skłonił się, uśmiechem przepraszając, że jest zajęty.

Stalin był wprost nieprawdopodobnie spokojny. Zdawało się, że ze wszystkich spraw na świecie najwięcej zajmuje go los Woropajewa, i może jeszcze tylko to błękitnawe niebo zlewające się z morzem, na które spoglądał od czasu do czasu przymrużonymi dobrotliwie oczyma.

Woropajewowi wydało się, że Stalin nie postarzał się od czasu, kiedy widział go po raz ostatni na defiladzie 7 listopada 1941 r., ale za to wyraźnie zmienił się w jakimś innym sensie.

Twarz jego, ta sama do najdrobniejszej, tak dobrze znanej zmarszczki, nabrała cech nowych, uroczystych i Woropajew spostrzegłszy to ucieszył się.

Nie mogła nie zmienić się twarz Stalina i nie stać się nieco inną, skoro naród cały patrzył w nią jak w zwierciadło i widział w niej siebie. A naród coraz pewniej skręcał na drogę wielkości.

Wiaczesław Michajłowicz pomógł przezwyciężyć pierwsze zmieszanie i rozmowa stała się ogólna.

— Opowiadano mi o was, i moim zdaniem, wielkiście rację — przystąpił od razu do rzeczy Stalin — obierając sobie pracę na rejonie. U nas, niestety wielu jest jeszcze ludzi, którzy wolą być urzędnikami w Moskwie, niż gospodarzami na prowincji.

Spojrzał na Mołotowa, a ten uśmiechnął się, dobrze wiedząc do kogo odnoszą się te słowa.

— Są jeszcze tacy ludzie... — ciągnął dalej Stalin. — Ale niedługo ich czas przeminie... Opowiedzcie czego, waszym zdaniem, potrzeba wam najbardziej? Nie krępujcie się, mówcie. — Stalin wygodniej usadowił się w krześle i sięgnął po papierosa. Fajki tym razem nie miał przy sobie.

— Ludzi — powiedział Woropajew. — I przede wszystkim mądrych ludzi, towarzyszu Stalinie.

Stalin zaśmiał się cicho, i spojrzał na Mołotowa, który uśmiechnął się również.

— Mądrzy ludzie potrzebni są wszędzie — powiedział Wiaczesław Michajłowicz.

— Trzeba stworzyć ludzi rozumnych, towarzyszu pułkowniku — szybko i jakby nakazująco rzekł Stalin — samemu tworzyć ich na miejscu, nie zwlekając aż z Moskwy zwalą się wam tacy na głowę. Nieprawdaż? Wcale nie powiedziano, że dobrzy pracownicy rodzą się tylko w Moskwie.

— Rosną, oczywiście, i tutaj, ale powoli, a zapotrzebowanie olbrzymie, wszędzie brak ludzi — odrzekł Woropajew, czując, że w tej kwestii nie uzyska poparcia Stalina.

— A jak się wam powodzi, nie bardzo? — spytał Stalin i spojrzał z ukosa, jakby pragnął dowiedzieć się tego, o czym sam dobrze wiedział, lecz by usłyszeć ton odpowiedzi.

— Nie bardzo.

— Bardzo dobrze, że otwarcie to mówicie. Bo na ogół spytać kogokolwiek — jak ci się powodzi? Odpowiada, że znakomicie, a w rzeczywistości nie codziennie je obiad... Tak, na razie źle żyjemy, ale powiedzcie kołchoźnikom, że wkrótce wszystko zasadniczo się zmieni na lepsze. Partia rozwiąże zagadnienie wyżywienia kraju z równą energią, jak w swoim czasie rozwiązała zagadnienie uprzemysłowienia. Zrobimy wszystko, by ludzie zaczęli dobrze żyć. Lepiej niż przed wojną. Opowiedzcie o ludziach: jacy są, skąd? I co robią?

Woropajew zamyślił się na chwilę, zastanawiając się, od kogo by zacząć, ale Stalinowi wydawało się widocznie, że Woropajew szuka formułek i niezadowolony, zmarszczył się.

— Nie szukajcie formuł, dajcie obraz żywy. Sformułujemy już jakoś tam sami.

I Woropajew zaczął w podnieceniu opowiadać o wszystkich, którzy byli mu bliscy — o Wiktorze Organowie, Pausowie, Cymbale, o Marii Bogdanownie i jej sanatorium dla dzieci, Annuszce Stupinie, o parze Podniebiesko, Gorodcowie, o tych wszystkich, z którymi marzył o przyszłości.

— A mówiliście, że potrzebni są wam ludzie! — odparł zdumiony Wiaczesław Michajłowicz — Ależ u was tu cała hodowla. Zaczniemy wkrótce sami zabierać od was.

Stalin milczał długo, rozpalając papierosa i zaciągając się dymem.

— Gdyby takim, jak owi Podniebiesko — rzekł cicho, jakby sam do siebie — dać siłę, zaszlibyśmy daleko.. Albo ta dziewuszka, Stupina... toż ona z samej tylko nienawiści do Niemców potrafi odbudowywać życie. Oczywiście, jeśli tę siłę pokieruje się właściwie. A na Cymbała baczcie, nie dajcie go krzywdzić. Tacy niespokojni staruszkowie są potrzebni, ich młodzież ceni... No, o kim jeszcze opowiecie?

I długo jeszcze wypytywał o wszystko, zamyślał się, nagle pogrążał się w sobie, jakby chciał porównać wiadomości teraz usłyszane z tymi, które usłyszał wcześniej i rozeznać, i potem znów się ożywiał, radując się z każdego nowego nazwiska.

Gdy usłyszał od Woropajewa o Gorodcowie, jak tęskni do zboża, jak śnią mu się łany pszenicy od horyzontu do horyzontu, wstał zamyślony i przeszedł się.

Woropajew wstał również, nie orientując się, czy ma pójść za Stalinem, czy pozostać przy stole, ale Mołotow rzekł:

— Siadajcie. Józef Wissarionowicz lubi pochodzić, podumać.

Stalin, wracając do stołu, przemówił:

— Troska o chleb — to dobrze. To troska najważniejsza. Ale winogrona, figi, jabłka są też ważne. Powiedzcie temu Gorodcowi... to człowiek wojskowy, zrozumie, że wy tutaj to coś jakby druga kolumna, jesteście rezerwą. Weźmiemy się do was, gdy uporamy się ze zbożem.

Ożywił się na wspomnienie swojej rozmowy z ogrodnikiem. Weźmy — rzekł — takiego ogrodnika. 45 lat pracuje, a boi się nauki. Powiada, że to się nie uda, tamto nie uda. Za czasów Puszkina bakłażany przywożono z Grecji do Odessy, jako rzadki specjał, a my piętnaście lat temu zaczęliśmy uprawę pomidorów w Murmańsku. Bo chcieliśmy — i udało się. Należy również aklimatyzować na północy winogrona, cytryny i figi. Zapewniano nas, że bawełna nie przyjmie się na Kubaniu, na Ukrainie, a ona się przyjęła. Cała rzecz w tym, żeby chcieć i dopiąć swego. Tak w ten sposób powiedzcie mu to — jeszcze raz powtórzył Stalin. — Jak się to on wyraził, ten Gorodcow: widzę, mówi, we śnie zboże?

— Tak. Widzę, powiada, we śnie, jak zbieram pszenicę. Obudzę się — plecy bolą od pracy i w izbie świeżym pachnie ziarnem.

— A może, takiego Gorodcowa przerzucić w stepy do uprawy pszenicy? — nagle zaproponował Stalin. — Rosjanin — człowiek od roli. Zastanówcie się. Naradźcie się z waszym kierownictwem. No, i cóż jeszcze powiecie?

Woropajew, ogromnie podniecony tą rozgrzewającą serce rozmową, włożył rękę do kieszeni płaszcza i wydostając chustkę wytrząsnął bukiecik świeżych śnieżyczek.

Wartownik, który stał w pobliżu, podniósł je i Woropajew włożył kwiaty z powrotem do kieszeni.

Stalin przyglądał się z ciekawością.

— Kieszenie, o ile wiem, nie są odpowiednim miejscem dla kwiatów — rzekł z przekonaniem. — Dajcie wasze kwiaty. Oto, tak zrobimy — mówiąc to — dołączył je do ogromnego bukietu, który stał na stole w szerokiej, niskiej wazie. — A może mieliście zamiar ofiarować je komuś?

Wtedy Woropajew opowiedział o małej Tworożenkowej, która marzyła o tym, by te kwiaty podarować Stalinowi i jak nieoczekiwanie spełniły się jej marzenia.

Stalin zatroskał się, czym by mógł odwdzięczyć się Tworożenkowej. Wreszcie zawezwał kogoś i poprosił o przyniesienie w specjalnym koszyczku kilku ciastek.

Kiedy zjawił się koszyczek, Woropajew poprosił o pozwolenie odejścia.

— Zuch, zuch, żeście tak postąpili — rzekł Stalin, żegnając się. — Nikogo nie słuchajcie, kto by chciał wam wymyślać. Urzędników i tak mamy nadmiar. Zuch!...

I gdy patrzał Woropajewowi prosto w oczy, twarz jego tak rozbłysła, jakby przemknął po niej promień słońca.

Piotr Pawlenko,
przełożyła **Barbara Madurowicz**.

DROBIAZGI FRANCUSKIE

SANKCJE PISARSKIE

Zarząd komitetu narodowego pisarzy postanowił wykluczyć Mauriaca ze swego grona. Trzeba przypomnieć, że nazajutrz po wyzwoleniu Francji utworzono komitet narodowy pisarzy (CNE), który powierzył Mauriacowi godność honorowego prezesa. Pisarze, członkowie tego komitetu, oświadczyli jednomyślnie, że nie chcą mieć nic wspólnego z kolaboracjonistami, których listę opublikowało wówczas „Figaro" i „Les Lettres Françaises".

Obecnie, wbrew temu oświadczeniu, Mauriac zamieścił w pierwszym numerze nowego miesięcznika „La Table Ronde" czołowy artykuł. To samo czasopismo publikuje równocześnie tekst jednego z pisarzy-kolaboracjonistów i zapowiada współpracę innych.

Nie jest to oderwany wypadek. Wcześniej jeszcze wystąpił z CNE Jean Paulhan, który także pisze w „La Table Ronde". Pisarz ten figurował do niedawna na stronie tytułowej „Les Lettres Françaises" jako ich założyciel, wspólnie z rozstrzelanym przez Niemców Jacques Decour. Obecnie tygodnik ten usunął nazwisko Paulhana ze strony tytułowej, a jego redaktor wyjaśnił, że istotnym i jedynym fundatorem pisma był Decour, dawny zaś jego towarzysz Paulhan stanął po drugiej stronie barykady.

Sankcje pisarskie są zjawiskiem bardzo charakterystycznym w ostatnich tygodniach, kiedy powrót kolaboracjonistów do literatury przybrał charakter masowy, kiedy ruch oporu ma bardzo złą prasę i kiedy coraz głośniej mówi się o amnestii i przebaczeniu win.

SPRAWY POLSKIE

W artystycznym i literackim Paryżu mówi się o Polsce rzadko i niewiele.

Szersze echo miała wystawa polskich exlibrisów, urządzona w Bibliotèque Nationale w roku ubiegłym.

W pierwszej połowie lutego otwarto w Galerie Beaux-Arts wystawę dzieł polskich plastyków, przebywających we Francji. Jest to wielkie wydarzenie w życiu Polonii francuskiej. Ma ono olbrzymie znaczenie propagandowe, ukazuje bowiem Francji mało znaną sztukę polską i przypomina polskość malarzy, znanych na tym terenie, jak: Marcoussis, Żak czy Makowski. Wystawa, która daje przegląd osiągnięć malarstwa polskiego, rozwijającego się w kręgu wpływów tzw. „szkoły paryskiej", spotkała się z ciepłym przyjęciem krytyki fachowej. Zorganizowanie jej jest zasługą ruchliwego Amitié Franco-Polonaise oraz Rady Narodowej Polaków we Francji.

To samo towarzystwo przyjaźni francusko-polskiej podejmowało 12 lutego w swoim lokalu Paul Eluarda i Jean Marcenaca, którzy niedawno powrócili z podróży po Polsce. Pisarze ci mówili o Polsce powojennej i o wrażeniach, jakie z niej wywieźli, przed audytorium złożonym z gości francuskich i przedstawicieli Polonii paryskiej. Wśród gości była Elsa Triolet, Julien Benda, Tristan Tzara i redaktor „Les Lettres Francaises" — Claude Morgan.

Tygodnik ten, którego redaktor bierze czynny udział we wszystkich manifestacjach towarzystwa przyjaźni francusko-polskiej, najchętniej bodajże otwiera swe łamy sprawom polskim. Dość powiedzieć, że w ostatnich trzech numerach znajdujemy kolejno trzy obszerne sprawozdania: kartki z podróży do Polski M. Gordeya, w których informuje on o życiu kulturalnym i artystycznym u nas, recenzję wydanej właśnie po francusku powieści Kruczkowskiego „Sidła" („Pièges et impasses", Editions Hier et Aujourd'hui) oraz wyczerpujące sprawozdanie z wrocławskiego zjazdu literatów.

Stanisław Gogłuska

WOJCIECH ŻUKROWSKI rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

5)

— A wiem! Bo u jednych to dopiero po śmierci, a u innych jak tylko zasną. Wtedy im w gardle gra, to właśnie dusza do góry idzie! Widziałem raz...

— Kłamiesz!

— Nie kłamię! Na własne oczy widziałem jak wychodziła!

— To powiedz jak wygląda?

— O, taka biała i bez rąk... Nie widziałaś? Czasami ją polami wiatr niesie jak ze siwego dymu...

Słychać było, jak piec wzdychał. Nagle zaszeleścił papier, coś potoczyło się i z grzmotem skoczyło na podłogę.

Dzieci przytuliły się przelęknione.

— Co to było, Włodziu?

— Nie wiem — wyszeptał. — Zapal zapałkę, to zobaczymy!

Opierając się na nim, Teklunia uniosła się ostrożnie, rozchyliła brzegi kożucha. Ciemność mrowiła się przed źrenicami. Dała nurka z powrotem.

— No, czemu nie świecisz?

— Boję się! A jak zapalę zapałkę i zobaczę coś, co tam stoi naprzeciw i patrzy na nas?

— No to ty też popatrzysz. czego się boisz?

— Myślisz?

— Pewnie — powiedział z przekonaniem.

Trzasła zapałka, płomyk zaświecił żółto.

— No? — zapytał ostrożnie, ale nie wstawał jeszcze.

— Nic nie widać — wyszeptała z ulgą. — Włodziu, tu chyba straszy, możebyśmy poszli do siebie, do łóżka...

— Poczekaj — z trudem się wyplątał, niezdarnie opierając się na kikutach wylazł zza kufra.

— Prędzej! Parzy mnie!

— Zapal drugą! Poraczkował bohatersko w ciemność. — No, widzisz, jest! — zawołał tryumfalnie. Podgarniał coś, jak pies obraca łapą jeża.

— Co tam masz?

— Jabłko. Mówiłem ci, żebyś się nie bała. Mysz musiała buszować po szafie i strąciła, a ty od razu — boję się, boję się...

Teklunia wytarła je o sukienkę i dała mu do ugryzienia. Uspokojeni wleźli do swego gniazda.

— Wiesz, jak nas napadli Ukraińcy, kazali mi położyć ręce na ławie i ciup, ciup siekierą...

— Bolało cię?

— Och, bardzo bolało! A potem jeden złapał matusię za ręce i przycisnął kolanem piersi, a drugi odchylił jej głowę jak cielakowi i po gardle...

— A dlaczego nie umarłeś?

— Bo nas partyzanci uratowali. Ukraińców zaraz pozabijali, a mnie zawinęli rączki... Tylko matusi już się nie dało... Patrzyła tam, do środka głowy i chrapała, bo przez tę małą dziurkę w szyi dusza jej się nie mogła przecisnąć... Ale w nocy wyszła i długo siedziała przy mnie. I było mi bardzo dobrze i bardzo smutno...

Teklunia słuchała przejęta. Była też trochę zazdrosna i upokorzona, że nie ma takich historii do opowiedzenia. Tak przyjemnie jest straszyć się w ciemności pod kudłatym lejem baranicy. Przytuleni czują ptasi niepokój w sercach, kołacze szybciutko w piersi pod dłonią wilgotniejącą od bliskiego oddechu. Potem pokój zatopiony zimową nocą zaludniają cienie, meble w świetle świecy ogromnieją, wszystko jest odmienione i niepokojąco żywe, aż oczy otwierają się szeroko, a w nogach dreszcz, żeby się rzucić do szalonej ucieczki.

— U nas w Oździutyczach — zaczyna wreszcie, opiera mu wargi o samo ucho, aż szumi ciepłe tchnienie — u nas była jedna kobieta, nazywała się Motria Pańczyszyn. Miała grube, czarne włosy, jak końska grzywa. Rozdzielała je przez środek głowy i wiązała warkocze w koronę. Mąż się jej nie mógł nachwalić, bo była cicha i robotna, tylko nigdy nie chodziła do cerkwi i nie śpiewała w polu. Nad podziw też mało jadła, parę kruszynek chleba, garstkę kaszy, tyle co wróbel, a cały dzień międliła szczęką jak krowa, gdy ją przypędzą z pastwiska...

Teklunia mówiła płynnie dużymi okresami, powtarzała zasłyszaną



opowieść. Stare kobiety bajały tak w długie zimowe wieczory, gdy wiatr obijał się o ściany, wydmuchiwał kłąb dymu na izbę. Dzieci które powinny już dawno spać, mimo, że potniały ze strachu pod pierzyną, wytężały słuch, by pochwycić niejasną historię. Nie ogarniały opowieści, sen przerywał jej wątek i poszerzał zwidzeniami. Na drugi dzień powtarzały opowiadanie umieszczając siebie niezręcznie w kręgu działających bohaterów.

Teklunia zamyśliła się niespodziewanie.

— No i co dalej, no mówże — niecierpliwił się Włodek.

— Potem sąsiedzi zaczęli się skarżyć, że jedzenie im ginie i pobili nocnych stróżów. Aż jednego dnia Pańczyszyn usnął, ale księżyc mu w twarz przyświecił, więc się obudził, uchylił powieki i patrzy na żonę, a ona rozplotła warkocze, złapała się obu rękami za włosy, pociągnęła i głowa jej się otwarła wzdłuż rozdziałka, pełna białych zębów jak wilcza paszczęka... Stanęła w otwartym okienku, powęszyła, powęszyła i jak nie pociągnie... Zaczynają lecieć z chat kołacze, pierogi z mięsem, sery słonina... Nałykała się, zamknęła głowę i zawiązała warkocze, położyła się koło męża i rusza, rusza, żuje gębą...

— Cicho — szepnął — teraz to już ona!

Korytarzem szedł ktoś powłócząc nogami. Otworzyły się drzwi, wtoczyła się Walercia z lampą w ręce, przyciskała kota pod pachą

— Śpij kiciucha — usadowiła go w zagłębieniu pierzyny. — Twoja pani ma jeszcze roboty, a roboty...

Zamknęła drzwi i pięścią dobiła zasuwkę.

Podeszła do wnęki, otwarła kufer — przyciskając dzieci odrzuconym wiekiem. Rozściełiła stary maglownik na podłodze i zaczęła układać stos bielizny, granatowe ubranie męża, nowe cholewy, turecką chustę po babce, stare obligacje pożyczki i mały woreczek z koralami, broszką i srebrnymi dziesięciozłotówkami.

— O cholera ciężkie — sapnęła, zawiązawszy rogi płótnianki.

Potem uklękła, leżąc piersią na łóżku modliła się długo. Czasem drapała się ukradkiem zapuszczała palec pod warstwy odzienia. Zastanawiała się przytem, kiedy najlepiej rzeczy wynieść i ukryć w piwnicach zamkowych.

— Chyba rano zejdę — szepnęła. Wlazła kolanami na łóżko, zdjęła



obrazek Częstochowskiej i wsunęła do tobołka z cichym wyrachowaniem, że będzie strzegł wszystkiego.

Rozbierała się, zaczynając od sztucznego warkocza, który powiesiła na poręczy krzesła i przysłoniła kaftanikiem. Dobrze, że tego dzieci nie widziały, bo drżałyby z lęku. Jeszcze w halce, narzuciła na siebie długą płócienną koszulę, obdzierganą przy szyi fioletową nicią.

— Ja się jeszcze z tobą porachuję ty szmato — warknęła w stronę drzwi. Już miała wejść do łóżka, kiedy nagle postawiła lampę na ziemi, wpuściła światło pod koszulę wzdętą jasnym dzwonem. Zajrzała sobie między pełne piersi, ciepły kopeć bił ją w poczerwieniałą twarz. Zapuściła wreszcie rękę głęboko i złapała pchłę. Długo ją gniotła palcami, jeszcze dla pewności wrzuciła w płomień lampy. Obficie pośliniła pogryzione miejsce.

— Ty pchlarzu, jazda! — spędziła kota, który przeciągał się sennie. Z ulgą, ruchem jakim stare kobiety wchodzą do wody, przykucnęła pod pierzyną, powoli prostowała nogi w zimnej pościeli.

Lampa była pod ręką, przykręciła ją trochę.

Walercia leżała tak długą chwilę, nadsłuchiwała i przełykała głośno ślinę. Oczy miała utkwione w jasnym krążku na suficie. Pomyślała o synu, który się zmarnował w Legionach, o córce wydanej za tego złodzieja z trzeciej wsi i o Janie, co chce wszystkich przechytrzyć... Powieki jej opadały, podnosiła je coraz niechętniej, zachrapała krótko, osuwając się w sen.

Światło padało na jej rzadkie włosy, białawy puch, przez który przeświecało łysiejące ciemię. Chóry armatnie skandowały daleko. Kot wskoczył miękko na łóżko i zwinąwszy się zamruczał.

Dzieci wyszły spod kożucha, na palcach zbliżyły się do łóżka. Śpiącej zagwizdało w krtani.

— Co teraz będzie?

— Zobaczysz, — szepnął tonem znawcy, — zaraz będzie z niej wychodzić, widzisz już oczy wywraca...

Walercia miała oczy na wpół przymknięte, białko błyskało spod rzęsy. Nagle otworzyła usta szeroko i wyszczeżywszy żółte zęby zacharczała tak głośno, jakby pierwszy sen zwalił jej się na piersi młyńskim kamieniem.

— O już, idzie...

— Ja nie chcę! — krzyknęła nagle Teklunia. — Zbudź ją, słyszysz ja nie chcę tego widzieć!

Walercia poruszyła się, popatrzyła na dzieci zmętniałą źrenicą, brała je za senne zwidzenia. Skąd-

HENRYK KOROTYŃSKI

Język prasy na cenzurowanym

Idzie sobie ulicą Wołomina czy Kutna obywatel, mija ogródki, które zdobią odrapane domy, i na furtce, prowadzącej do jednego z tych ogródków czyta rzucający się w oczy napis: „Uwaga! **Zgryźliwy pies!**"

Obywatel śmieje się do rozpuku z tego istotnie zabawnego błędu: wie na pewno, że to jest błąd, bo zawsze widział na ostrzegawczych napisach słowa „zły pies", a „zgryźliwe" — powiada sobie — mogą być czyjeś „uwagi" albo czyjeś „usposobienie", ale psa, który gryzie, nie nazywamy w języku polskim „zgryźliwym".

Obywatel jednak nie tylko spaceruje po mieście, ale również czyta gazety. A w gazetach nie znajduje co prawda „zgryźliwych psów", natomiast wpadają mu w oczy i zostają w pamięci tysiące wyrazów, zwrotów, zdań, które urągają właśnie zgryźliwie zasadom dobrej polszczyzny. Obywatela, jeżeli dobrze nauczył się polskiego w szkole średniej, rażą początkowo te błędy językowe, ten paskudny żargon dziennikarski ale z czasem — już przywykł, już sam zaczął na tę modłę mówić i pisać, bo tak przecież „stoi w gazecie".

A czegóż nie ma w naszej kochanej prasie i w tej codziennej, i tej tygodniowej!

Co zdanie to **„cały szereg"**, **„wyczyn"**, **„zaaresztowany"**, **„nastawienie"**, **„odcinki pracy"**, **„wymogi"**, **„podejścia"**, **„stuletnie rocznice"**, **„akcje"**.

Już prawie nikt nie pisze, że **„powstała nowa sytuacja"**, lecz **„sytuacja zaistniała"**; poseł nie zadaje **„pytań"**, lecz **„zapytania"**. Gdy na kandydaturę obywatela X padły **wszystkie głosy** na zebraniu prasa pisze, że wybrano go **„jednogłośnie"**, bo słowo „jednomyślnie" przestało istnieć w gazetach. Myślicie może, że Charlie Chaplin przybędzie do Wielkiej Brytanii? Nie, „Charlie Chaplin przybędzie **na teren** Wielkiej Brytanii". Sądzicie może, że w marcu było w Warszawie mało pożarów? Nie, **„w miesiącu marcu** było na terenie Warszawy mało pożarów".

Gdy przyjechała do Polski rumuńska delegacja rządowa z premierem Grozą na czele, byłem przekonany, że nasi goście z Bukaresztu odbędą albo przeprowadzą rozmowy z rządem Rzeczypospolitej. Nic podobnego! Polska Agencja Prasowa z dn. 28 lutego r.b. podała, a za nią niemal wszystkie dzienniki warszawskie, że „w trakcie rozmów, **jakie miały miejsce** z rządem Rzeczypospolitej".

Teraz już nic się nie „zdarza" i nie „odbywa", lecz wszystko **„ma miejsce"**, nawet fakty („ciekawy fakt miał również miejsce w Loriant" pisze znany dziennikarz sportowy, który niekiedy zajmuje się wydarzeniami minionej wojny).

Już się nie „strzela" ani nie „daje strzału", lecz **„oddaje"** (komu?). Ba, nawet się nie „skacze", lecz **„oddaje skoki"**, jak o tym świadczy „Przegląd Sportowy" z dn. 5 lutego r.b.: „Stanisław Marusarz oddał parę ładnych, lecz ostrożnych skoków". Komuż, do diabła, Staszek oddał swoje skoki? Jest to zapewne słodka tajemnica twórcy tego pięknego zdania.

Zapomniano w naszej prasie o istnieniu słów **„kilka, kilku"** i **„wiele, wielu"**, które to liczebniki zastępuje teraz słowo **„szereg"** lub **„cały szereg"**. W „Tygodniku Powszechnym" (nr. 153, z dn. 22 lutego r.b.) czytamy o liście „który zawiera cały szereg słusznych myśli", a „Głos Ludu" (nr. z 10.IV. r.b.) twierdzi, że rząd włoski „przyjął szereg dekretów". „Odrodzenie" (nr. 15 z r.b.) w notatce, prostującej błędy, popełnia kilka nowych: „W numerze świątecznym „Odrodzenia" zakradło się szereg błędów". Po pierwsze — „zakradło się **do** numeru", po drugie, pocóż miłe, sekretarki „Odrodzenia" odbierają temu nieszczęsnemu „szeregowi" jego męskość? Jeżeli już szereg, to „zakradł się". To samo zresztą czyni „Wieczór", który w nr. z dn. 21 kwietnia r.b. informuje: „W aferze pośredniczyło szereg osób".

Ów „szereg", a zwłaszcza ten bezsensowny „cały szereg" jest to wytarty, wyświechtany frazes dziennikarski, który już dawno przestał być metaforą, zdolną wywołać obraz szeregu. Używa się tego słowa wszędzie, doprowadzając do absurdów. Czy możemy bowiem wyobrazić sobie „szereg myśli" albo „szereg dekretów"?

Brak kontroli nad tym, czy metafora jest wyobrażalna i logiczna, doprowadza do wręcz już humorystycznych efektów. Wyczytałem np. — nie pomnę gdzie — że przy rozdziale bydła „gmina Zielonka otrzymała lwią część krów", a w „Dzienniku Polskim" (cytuję za prof. Doroszewskim) autor znalazł się w takiej niewoli frazesu, że napisał: „Zwycięska stopa żołnierza polskiego obok sztandarów sojuszniczych zatknęła naszą chorągiew na trupach pobitych wrogów na Bramie Brandenburskiej".

Czymże innym, niż frazesem językowym bez pokrycia są te wszystkie „prace **w kierunku** odbudowy", „posunięcia **pod kątem** samowystarczalności", „zadania **na odcinku wsi**"? W jednym tylko artykule gospodarczym w „Robotniku" (nr. 99 z dn. 11.IV r.b. na str. 5) znajduję oprócz „szeregu względów" aż trzy „odcinki": „Osiągneliśmy na tym odcinku (mowa o rybołóstwie morskim — przyp. mój) poważne rezultaty". „Plany rozwojowe na tym odcinku..." (mowa o flocie handlowej — przyp. mój). „Osiągnięte rezultaty — czy to na odcinku rolnictwa czy przemysłu..."

Odrębną cechę żargonu dziennikarskiego stanowi nadużywanie t.j. używanie bez uzasadnionej potrzeby — wyrazów obcych. Jak wiadomo weszły do języka polskiego i nawet go wzbogaciły liczne wyrazy, pochodzące z obcych języków — wyrazy, określające pojęcia, dla których brak słów rodzimych.

Ale dlaczego, mając polskie wyrazy „prostować" i „zaprzeczać", piszemy tak często „dementować"? Dlaczego zamiast „zmarły", wprowadzamy na nasze łamy „denata"? Albo te paskudne, najczęściej spotykane słowa obcego chowu: „sfingowana wiadomość" (zmyślona), „dewastować" (niszczyć), „zdezelowany" (zepsuty), „lansować" (rozpowszechniać, wprowadzać). Szczególnie rażące jest używanie słowa „zlikwidować" w znaczeniu „rozbić, zabić, aresztować" np. „Trzech bojowców zlikwidowali Niemcy".

Ostatnio za pośrednictwem naszego MSZ gwałtem wdziera się do języka polskiego najzupełniej niepotrzebne słowo „priorytet", które oznacza to samo, co nasze „pierwszeństwo" (np. „Kraje, zniszczone przez Niemcy, powinny mieć priorytet w odbudowie").

Nadużywanie obcych słów cechuje, jak to powszechnie wiadomo, również naszą prasę literacką i stanowi jedną z przeszkód w jej szerokim rozpowszechnieniu.

✣

Nasz język dziennikarski zaśmiecają nie tylko wyświechtane frazesy i niepotrzebne wyrazy obce. Roi się w prasie od pospolitych błędów językowych, wynikających — cóż? trzeba to wreszcie wyraźnie powiedzieć — z niedostatecznej znajomości języka polskiego. Przykłady? Jest ich, niestety, aż za dużo, ale, że nie piszę słownika*), lecz artykuł — więc tylko o niektórych, najczęściej spotykanych błędach będzie tu mowa.

Ileż to razy dowiadujemy się z prasy o **„najpierwszym"** transporcie albo o „najpierwszej„ zniżce, że to niby ten „najpierwszy" czy „najpierwsza" mają być „pierwsi" od innego „pierwszego". I błąd, i nonsens — bo właśnie „pierwszy" jest przed wszystkimi innymi, a jeżeli jest drugi, to już nie jest pierwszy.

W informacji o westfalakach czytamy (w „Rzeczypospolitej" z dn. 25.II rb.), że „wraca około dwanaście tysięcy ludzi". A tymczasem jeżeli „około" to „dwunastu tysięcy".

Kiedy zaimek **„mój"**, a kiedy **„swój"**? W języku polskim, w przeciwieństwie do języka niemieckiego czy francuskiego, obowiązuje taka praktyka: „Ja czytam swoją książkę" i „on czyta swoją książkę", ale „on wziął moją książkę" i „daj mi moją książkę". To samo w liczbie mnogiej: „My załatwiamy swoje sprawy", ale „oni załatwiają nasze sprawy". Niewłaściwe używanie zaimków dzierżawczych nie jest „przywilejem" tylko prasy codziennej, ale także naszych świetnych skądinąd tygodników, a nawet — literatury pięknej. Np. „Do Ciebie zwracam moje uwagi krytyczne", czytamy w „Kuźnicy (z dn. 21.III r.b.) a w „Mieście niepokonanym" znajduję taki błąd: „Los wojny miał nas ściśle **z nami** połączyć" (str. 122). Rzecz jasna, że powinno być: „swoje uwagi" i „z sobą połączyć". Może to „twórczy korektor" winien!

Gdy już mowa o zaimkach, trudno nie przypomnieć, że poprawna forma jest „to jabłko, to dziecko, a nie „te jabłko, te dziecko", że trzeba pisać „tę sprawę załatwiłem", a „nie tą sprawę".

Często, niestety, zapominamy, że są w jęz. polskim czasowniki, które się łączą z drugim przypadkiem a nie z czwartym. By dać odetchnąć (na chwilę!) kolegom-dziennikarzom, przytoczę przykłady z literatury pięknej. „Pilnować czego", a więc — domu, porządku wzroku, ale w „Mieście niepokonanym" czytam na str. 214: „pilnując wzrok przed niebem". „Zapomnieć czego", a więc — numeru, ale w „Nowelach włoskich" na str. 16 czytam: „Zapomniałem numer pokoju". Zapewne korekta winna...

Luty, jak każdy zresztą **miesiąc**, jest tylko jeden w roku, nie ma ani piętnastu lutych, ani dwudziestu dziewięciu. Ale „Express Wieczorny" pisze w nagłówku „29 luty", „Kuźnica" twierdzi, że jest jakiś „15 luty", a sekunduje jej dzielnie „Przekrój" (21 kwiecień") oraz katolickie pisma „Słowo Powszechne" (2 kwiecień) i „Tygodnik Warszawski" (4 kwiecień). Należy — jak wiadomo — pisać: „15 lutego" i „2 kwietnia", bo mowa jest o piętnastym czy drugim **dniu miesiąca** (lutego czy kwietnia).

Co się tyczy miesięcy, to przypomnieć warto, że nie należy pisać „w miesiącu wrześniu", „w miesiącu lutym", bo wystarczy „we wrześniu", „w lutym".

Jest to błąd typu **„masło maślane"** — a błędów tego typu jest więcej. „Wraca z powrotem" pisze „Wieś" (nr. z 21.III r.b.), o „dalej oddalonym" czytam w „Expressie Wieczornym" (z 20 III r.b.), a nie raz można się dowiedzieć z prasy, że ktoś „dalej kontynuuje swoje przemówienie", że „powstały dwie alternatywy" i że „godzina czasu nie wystarczy".

W języku polskim **nazwiska odmienia się przez rodzaje**, a więc Jan Pączek, ale jego żona Anna Pączkowa i jego córka Wanda Pączkówna. Wbrew tej zasadzie spotykam w druku i Zofię Małynicz, i Zofię Wójtowicz i wiele innych panien, które nie wiadomo czemu przybierają męski kształt językowy. Niektóre panie czynią to w tym celu, aby ukryć swoje staropanieństwo, niestety, miłośnicy języka nie chcą się zgodzić, aby chęć tego rodzaju usprawiedliwiała popełnianie błędu. Tu warto przypomnieć dzielną Pannę Marię Rodziewiczównę, która nie używała męskiej formy, chociaż nosiła męski krawat i kołnierzyk.

Bardzo energicznie rozpowszechnia prasa twierdzenie, że **rocznica** nie jest „piąta", „dwudziesta", czy „setna", lecz „pięcioletnia", „dwudziestoletnia" i „stuletnia" (np. „Głos Ludu" z dn. 17.III br.). Ta energiczna propaganda błędu dotarła aż do Dusznik na Dolnym Śląsku, gdzie w roku 1946 ufundowano tablicę ku czci Fryderyka Chopina z napisem: „W stuletnią rocznicę śmierci natchnionego mistrza tonów..."

Przykładami błędów językowych, które szpecą naszą prasę, można by (niestety!) zapisać całą stronę „Odrodzenia". Nie mówiliśmy tu przecież o osławionym germanizmie „w pierwszym rzędzie" (przede wszystkim lub zwłaszcza), o „ubrać futro" (ubrać się w futro), o „za darmo" (darmo), o „rozbudowie muzyki" (rozwój muzyki), ani o tym, że nie należy mieszać przestrzeni z czasem („na przestrzeni trzech lat" API z 15.III. r.b.), ani że słowa „dzięki" powinno się używać z zastanowieniem („wyrazić tego nie można, czym było Birkenau **dzięki** takim jak Weber" — pisze Szmaglewska w numerze jubileuszowym „Przekroju" o jednym z katów obozowych i wyraża mu mimowoli — podziękowanie).

✣

Sądzę że przykładów już dość, aby można z nich było wyciągnąć wnioski.

Źle jest z poprawnością i czystością języka polskiego w naszej prasie. W okresie międzywojennym też nie było dobrze i wówczas również język dziennikarski zaczynał nabierać brzydkich cech żargonu, ale — jak sądzę — sytuacja obecna jest jeszcze gorsza. Dlaczego? Niektóre przyczyny łatwo ustalić. Wojna i okupacja wędrówki setek tysięcy ludzi po obcych krajach, zwłaszcza po Niemczech i po obozach koncentracyjnych — to są czynniki, które musiały źle oddziałać na język i społeczeństwa polskiego i pracowników pióra. Wobec szczególnie dotkliwych strat w ludziach i szybkiego zaraz po wojnie rozwoju prasy, trzeba było pośpiesznie wypełniać luki elementem niedostatecznie wykształconym w ogóle, pod względem językowym w szczególności.

Ogrom trudności, które miała do pokonania odbudowująca się prasa, odsunął na dalszy plan troskę o dobry język polski. Dziś już czas, by się tym zająć. Sprawa jest ważna nie tylko z punktu widzenia zawodowego, nie tylko dlatego że nie może być dobrym dziennikarzem ten, kto nie umie władać nienagannie podstawowym narzędziem swej pracy — językiem.

Doniosłość zagadnienia polega na tym, że właśnie dzienniki, które dziś osiągają już milionowe nakłady, kształtują polszczyznę społeczeństwa. Zaryzykuję twierdzenie, że prasa w tym samym stopniu, co szkoła, decyduje o tym, czy język polski tysięcy i tysięcy obywateli jest zły czy dobry. Dopuszczając do panoszenia się błędów w naszej prasie, psujemy również język tych, którzy nim dobrze władali„ bo choroba ta jest wręcz epidemiczna.

Związek Zawodowy Dziennikarzy R.P., który zorganizował już kursy dokształcające dla młodych pracowników prasy, dużą wagę przywiązuje do wykładów i ćwiczeń, poświęconych językowi polskiemu, a w przyszłym zreformowanym szkolnictwie dziennikarskim przedmiot ten będzie zajmował poczesne miejsce.

Prof. dr Witold Doroszewski, jeden z najwybitniejszych znawców przedmiotu, ma właśnie wykłady na wspomnianych wyżej kursach.

Niezależnie od tych zorganizowanych przedsięwzięć pedagogicznych czas już, aby nas wszystkich dziennikarzy przeniknęła większa niż dotychczas troska o dobrą polszczyznę w prasie.

Wszystkich — bo nikt z nas nie jest tu bez winy.

Henryk Korotyński

*) Słownik polskich błędów językowych, opracowany przez prof. dra Słońskiego.

W poprzednim 18(179) numerze „Odrodzenia" z dnia 2 maja 1948 r.: **Bohdan Czeszko:** Synowie.— **Paweł Antokolski:** Do inteligenta polskiego. — **Rafael Alberti:** Upiór krąży po Europie. — **Czesław Miłosz:** Pablo Neruda (Przekłady). — **Tadeusz Breza:** Owcze źródło. — **Effendi Kapijew:** Powołanie poety. — **jmw.:** W obronie poety Pablo Nerudy. — Pisarze polscy wobec ruchu robotniczego. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca. — **Tadeusz Kubiak:** Martwa natura. — **Tymoteusz Karpowicz:** Młoda krawczyni. — Nagrody i wydarzenia literackie. — **Artur Marya Swinarski:** Recenzje teatralne. — **Zygmunt Mycielski:** Wydawnictwa muzyczne. — **Jerzy Płażewski:** Film: (Rodzina Froment; Bitwa o szyny). — Książki: Beletrystyka („Świętokradca" Tadeusza Kudlińskiego; „Wertepy" Leopolda Buczkowskiego); Przekłady („Rok 1793" Wiktora Hugo); Popularyzacja wiedzy („Przechadzki ateńskie" Władysława Witwickiego). — **Jan Rojewski:** Literatura i ludzie. — **Antoni Słonimski:** Przepis na artykuł. — **Stanisław Szenic:** Dwa barokowe widoki miast polskich. — **Janusz Minkiewicz:** Cztery kalambury literackie. — Camera obscura. — 14 ilustracji. — 8. stron.

że mogli się wziąć skoro mocno w niej tkwiła pamięć dopchniętej zasuwy.

Teklunia skuliła się za Włodzia.

— Jakeście tu wleźli? Po co? Chcecie coś ukraść?

Dzieci milczały, przypatrywały jej się z natężeniem.

Zwiesiła nogi, przelewała ciężkie ciało przez krawędź łóżka. Zawisła nad nimi białą zaspą.

— Jak was strzelę, to zaraz przemówicie! Dawać łapy!

Włodzio jak urzeczony wyciągnął przed siebie żałośnie zwisające końce rękawków.

Walercia zamarła z uniesioną ręką. Powoli opuściła dłoń na ciemną głowę chłopca, pogłaskała go szorstko.

— No, głupie, idźcie spać... No, uciekajcie...

Otwarła drzwi i wypchnęła je pośpiesznie w czarny korytarz. Teraz, przypomniawszy sobie o głowie, narzuciła gwałtownie chustkę i ściągnęła końce pod brodą. Przez szparę nad progiem wiało. Odczekała chwilę, nie słyszała, żeby odbiegli.

Jeszcze raz uchyliła drzwi i zobaczyła dzieci stojące w świetle.

— Dlaczego nie zmykacie do siebie?

— My się bardzo boimy. — zaczęła Teklunia — tam jest ciemno...

— A tu do mnie wleźć toście się nie bały?

— Myśmy tylko chcieli zobaczyć...

— Nie mów — trącił Włodzio.

— Czekaliśmy na duszę!

Walercia przygarnęła je ciepłymi ramionami.

— Sierotki moje szepnęła — duszy u mnie szukały, pewnie, bo u kogóż jej szukać w tym domu? No, chodźcie, będziecie dziś spały ze mną.

Rozebrała je i ułożyła przy sobie. Dzieci zalęknione ledwie oddychały za barykadą jej ciała. Ale ciepło działało rozmarzająco, powoli przychodziło poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytał Włodzio.

— Nie mogę usnąć, bo jak z niej wyjdzie...

— Słuchaj, może to nie była dusza, bo ona rechotała jak żaba... Może łyknęła ją z wodą? Opowiadała mi babka...

— Nie strasz mnie!

— Opowiadała o żabie co wychodziła na poduszkę... Co ty i żaby się boisz?

— Zwyczajnej to nie!

— No widzisz...

— Co tam mruczycie jak kocury — odezwała się sennie Walercia. — Przeżegnać mi się i spać!

Więc przeżegnali się posłusznie i przytaili, skuleni u jej boku, nawet nie zauważyli kiedy spadł na nich mocny sen.

✣

— Czego szukam tak o świcie — zapytywał się sędzia — co mnie nosi... Odpiął haki i otworzył drzwi wejściowe. — Wyjrzę tylko przed dom — usprawiedliwiał się niecierpliwą ciekawością.

Podwórze było pełne niebieskiego cienia. Wyżej na szczycie Kułaka, na skale omiecionej ze śniegu trzepotały się gawrony, wrzeszczały wiosennie. Wyżej na białym niebie miotała czerwonym ogniem Wenus.

Zaraz za bramą spadał wyślizgany zjazd w dolinę, na jej dnie Siniawka rysowała się pomiędzy zaspami czarnym zygzakiem.

Skręcił w podwórze, odruchowo sprawdził kłódki na pustym chlewie. W stajni na szybkach zaszłych parą ściekały wielkie łzy.

— Ciekawym czy szczęśliwie dojechali? — szepnął, ale bez obawy, zbyt mocno ufał niemieckim zezwoleniom Łucji. Szedł pod górę w głąb parku zrośniętego z lasem zamkowym.

Za stogiem, spod którego prysnęły dwa zające, jeden za drugim i zakurzyły w sypkim śniegu, ścieżka dotąd dość wydeptana niknęła między świerkami, w gęstwie ciemnej, nieprzyjaznej.

— Dojdę tylko do altanki, rzucę okiem i zaraz wracam — uspokoił się wewnętrznie. Oddychał krótkimi łykami. Powietrze było twarde, pełne woni zmarzniętego igliwia, zachęcało do szybkiego marszu.

Śnieg stał głębszy, niezamącony nawet tropem lisim, ale nie lgnął do mankietów spodni, pod cienką wierzchnią skorupką, był suchy jak piasek. Postanowił skrócić sobie drogę. Nie czuł chłodu, miejscami musiał stromo podchodzić. Tu, w górze, cisza była aż dzwoniło w uszach.

Odwrócił się. Pod nim dolina pełna niebieskawego cienia, wstające słońce tęczowo iskrzyło się na mgle nadrzecznej. Zamek podobny do odwróconej dłoni, zawisał nad drogą miejscami rudo znaczoną śladem końskiego nawozu. Pod mur obronny, ledwie widoczny spod śniegu, pięły się zjeżone świerczki. Żaden dym nie unosił się jeszcze w powoli nasłoneczniające się przestrzenie.

— Dobrze jest żyć — dyszał rozgrzany, osiągnąwszy krawędź. Przez przęsiekę między drzewami mógł popatrzyć na drugą stronę. Siadł na poręczy. Altana była pełna odchodów zajęczych, rozsypanych garściami. Z karmnika porozwłóczano kłaki siana.

Zaniepokoiły go dalekie dymy, ciężko rozlane na horyzoncie, pomazane rudawym odblaskiem. Bliżej były kępy olch, rozrzucone domki osady Dziadówki i z niejasnej gęstwy dachów wystrzelała wieża starego kościoła w Doboszowie.

Szerokie pofałdowane przestrzenie łąk na Mokronosie, zwierciadliły się miejscami we wstającym dopiero słońcu.

Z uczuciem zawodu patrzył na zimowy krajobraz. Nie było, prócz dalekiej ławicy dymu, żadnych gwałtownych zmian, których oczekiwał po wczorajszym ogniu armatnim.

Dopiero zaniepokoiły go głosy Niemców. Byli blisko, trochę pod nim, zasłonięci krzewami. Posłyszał naraz uderzenia siekier. Teraz zobaczył innych, na łąkach, ledwie dostrzegalnych w białych ochronnych skafandrach. Wlekli karabiny maszynowe na sankach, maskowali stanowiska.

— Jednak zepchnięto ich — pomyślał z ulgą. — Chyba nie będą się tu długo opierać?

Głosy poczęły się zbliżać. Nie było na co czekać. Gdyby go przyłapali, trudno by było mu tłumaczyć, że przyszedł się tylko rozejrzeć.

Zaczął więc szybko schodzić. Kierował się wyłącznie rozwagą, wierzył jeszcze w magiczne brzmienie słowa — gutbezitzer. Spadek niósł go lekko.

W pierwszym świetle, które sięgało szczytu Kułaka, wrony opędzały się od pary jastrzębi. Krążyły one lekko, cięły sierpem skrzydeł chłodne powietrze. Czasami zachodziły w cień, niemal nikły, to znów zapalały się brązem. Kilka wron zrozpaczonych, rzuciło się za nimi w pościg, machało pośpiesznie skrzydłami, chrypło od krakania.



— Dziś się z wami żegnam — szepnął z ulgą — dziś ginie sędzia Nahorayski, a rodzi się... — Uśmiechnął się ironicznie — skoro dopiero rodzi się, więc jakże można wiedzieć kto? Dobrze, że choć wiem po co się tam wspinałem — obejrzał się niemal z czułością na stromą ścianę doliny — chciałem dojrzeć przyszłość, choćby najbliższą...

✣

Walercia zbudziła się wcześnie. Długo nie chciało jej się ruszyć. Wreszcie wygrzebała się spod pierzyny, spostrzegła spluwając od uroku, że właśnie lewą nogą zaczynała dzień.

Podniosła zasłonę. Szarzało. Koguty piały jeden przez drugiego, na zmianę. Puszysty różowy blask stał nad lasem.

Kot był już przy drzwiach, giął niespokojnie koniec zadartego ogona.

— Śpijcie jeszcze aniołeczki — szepnęła, nachylając się nad dziećmi. — Czas jeszcze, czas...

Ubrana, nalała wody do miednicy i prychając, mokrymi rękami przetarła sobie twarz.

Potem wyciągnęła z kieszeni fartucha różaniec i zaczęła mruczeć. Łuna na niebie była ledwie widoczna, ale świtało w innym miejscu. Chwycił ją strach.

— Jezu! Jezu — szepnęła — wioski się palą!

Stała przy oknie, z ziarnami różańca przyciśniętymi do warg.

Kot miauknął, ostrzył sobie pazury o framugę. Otworzyła drzwi. Stękając, zarzuciła tobołek na plecy.

Na korytarzu był chłód nocny, zmętniałe powietrze spało jeszcze. Poruszała się prawie bezszelestnie. Od wąskich okien dymiło zbielałe światło wstającego dnia.

Zeszedłszy na dół, zdziwiła się, że ktoś przed nią wstał, bo drzwi na dwór były otwarte. Przykucając, odemknęła ciężkie drzwi do piwnic. Buchnęło wilgotnawą wonią starych kamieni. Zawiedziony kot, który cały czas łudził się, że zmierzają do kuchni, zakręcił się na najwyższym stopniu, ale nie zeszedł niżej.

Walercia sunęła ramieniem po ścianie, ostrożnie macała opuchłymi stopami zdeptane stopnie. Schody odkręcały się powoli. Pchnęła drugie drzwi bez zamka i poczuwszy pod nogami suchy piasek, z ulgą zrzuciła tobół.

Oddychała chwilę, nadsłuchując w ciemności. Pachniało mokrym wapnem. Daleko słychać było szmer źródełka i cykanie kropel z namokłej skały. Znalazła półkę, zdjęła lichtarz ze świecą nakrytą z góry ubitą flaszką.

Knot i tak zwilgotniał, pryskał, zapalał się opornie. Odczekała aż się rozświeci. Osłaniała go dłonią, wstępując w głąb podziemia.

Piwnice były rozległe, częściowo wykute w skale, w kilku miejscach piętrowe. Mimo stęplowań sufity się gdzieniegdzie obsunęły, a doły wypełniała woda. Potworzyły się niebezpieczne pułapki, tak że sędzia kazał wejścia do dalszych korytarzy zamurować.

Jan lubił krążyć po zamkowych czeluściach, zwłaszcza w niedzielne popołudnia, chodził z młotkiem i opukiwał ściany szukając skarbów. Przeciskał się przez rumowisko, gdzie niski strop obrastał rudymi kryształami, a kruche nacieki zgrzytały pod butem.

Pewnego dnia natrafił na suchą obszerną salę w której na wpół zagrzebane w piasku, stały potężne beczki. Ale wina w nich nie było ani kropli. Nie wierzono czopom, dna były powyłamywane, a cynowy dzban leżał zgnieciony, jakby go o ścianę rzucono z furią.

Mimo lat dębina dudniła zdrowo.

— He, dawniej to umieli pić! — westchnęła Walercia. — Tu nikt chyba nie zajrzy, wsadzę szmaty do beczki i przyrzucę czym czarnym... To jest fajne schowanko!

Postawiła świecę i przywlokła tobół. Wsparła się na ostatniej z beczek, prawie na niej siadła. Nagle zachwiała się. Beczka odtoczyła się powoli odsłaniając czarny otwór w ścianie.

— Święty Józefie! pisnęła Walercia, łapiąc równowagę. Ale już ciekawość i chciwość zwyciężyła. — Skarb!

(Dalszy ciąg nastąpi)

ANNA KOWALSKA

Z opowiadań greckich

WDOWA

W szczelinie między świątynką Niki a Partenonem znalazłam szczerbę wazy: na kremowej glinie malowały się czerwono-brunatne fałdy chitonu i profil uśmiechniętej twarzy o wielkim oku. Wpatrywałam się chciwie, jakby coś niezwykłego można było tam jeszcze dostrzec, ale żadnego napisu nie było, tylko u brzegu gałązka drobnolistna. Wzruszał mnie nie tylko sam fragment wazy, ale i to, że znalazłam go właśnie tutaj, gdzie



nieznużenie przychodzili ludzie wszystkich krajów, we wszystkie dnie roku, od tak dawna.

Podniosłam oczy z nad dłoni i zobaczyłam panią w długich, czarnych szatach i w żałobnym welonie siedzącą pod kolumną. Raz po raz pochylała się nad książką po czem podnosiła głowę do góry, wyginając szyję, podobną do ptaka, gdy pije wodę. Modliła się półgłosem, monotonnie powtarzając respons litanii. Dziwne miejsce na modlitwę, ale nieznajomej ani obecność zwiedzających, ani palące słońce nie zdawały się przeszkadzać.

Kiedy po długiej wizycie w muzeum przechodziłam znowu koło Partenonu z uśmiechem Kor w oczach pamięci, spostrzegłam nieznajomą na tym samym miejscu, szeptającą i pijącą słowa swoich modlitw. Ale widać była już trochę zmęczona, bo coraz dłużej patrzyła przed siebie na dalekie, hen w dole rozciągnięte Ateny różowe o tej porze i świetliste. Wreszcie odłożyła książkę i oparła twarz na dłoni, po tym ruchu dopiero poznałam w nieznajomej panią Laurę. I nie wiem, co bardziej mnie zdumiało, czy sama jej tutaj obecność, czy znękana twarz, czy też zaniedbanie i dziwaczność stroju. Spojrzenie jej bolesne, to obrażone przeniosło się z dalekiego horyzontu na mnie.

— Wie pani, mąż mi umarł — powiedziała z trudem jakby wstydząc się tej śmierci.

Laura Niedarzycka, mój Boże! — To jest Laura Niedarzycka! Ta świetna i elegantka iskrząca się dowcipem, zuchwale pewna siebie i świata stworzonego dla jej uciechy i kaprysów, siedziała oto przede mną jak żebraczka na wpół obłąkana w obcym mieście, na stopniach umarłej świątyni.

Pamiętam moją ostatnią bytność u niej. Niedarzyccy urządzili wielkie przyjęcie, pierwsze w nowym swoim domu był to dzień jej imienin, a on otrzymał wtedy jakieś wielkie odznaczenie. W tym sezonie w Paryżu wielkie domy mody wprowadziły kolor biały i Laura wkomponowała siebie w całość swego salonu, obmyślaną, jako grę lśniących i matowych bieli. Fotele były kryte białym atłasem, lśniącym jak oblepiały śnieg, piękne białe kamelie po staroświecku wypełniały żardiniery matową, cichą bielą, żyrandol starej weneckiej roboty drżał od blasków migotów, jak oszroniony szczyt drzewa w słońcu. Sama pani Laura, chłodna jak kamelia wystąpiła w białej koronkowej sukni. Bił od niej jakiś szorstki urok i mimo modnych paryskich smaków pierwotna, trochę dzika radość i naiwna ostentacja.

— Kocio tak panią lubił — westchnęła odgarniając kosmyk siwawych włosów z czoła.

Uściskałam ją za rękę nie mogąc się zdobyć na żadne słowo, bo wiedziałam że Konstanty Niedarzycki był mi zawsze niechętny i nieżyczliwy.

— Taki wspaniały człowiek — westchnęła kiwając żałobnie głową — taki piękny człowiek!

Stanął mi przed oczyma taki, jakim go pamiętałam z pierwszych lat studiów, olśniewający zuchwałością pomysłów naukowych i świetną argumentacją. Podziwialiśmy jego wartką, elegancką wymowę i niezawodną pamięć. Do uczniów odnosił się z serdeczną koleżeńskością, kochaliśmy się w nim wszyscy porwani jego namiętnością do nauki i zapałem. Układał z nami plany wyjazdu do Grecji, już, już mieliśmy jechać, kiedy zaczęto mówić, że Niedarzycki zakochał się na zabój w Rosjance, córce jenerała carskiego i że się żeni. Jakoż coraz częściej odwoływał wykłady a nawet seminaria. Gdybyśmy go widzieli, nie śmieliśmy nawet wspomnieć o wspólnej podróży. Wreszcie wziął urlop i wyjechał z żoną.

Gdy wrócił, był to już inny człowiek. Młodzi koledzy nawet nam wierzyć nie chcieli o jego dawnej naukowej świetności. A potem, potem był już ciężki, zwalisty olbrzym o dobrotliwej niby, a chytrej w istocie twarzy, skarżący się na zaszczyty, o które, jak wiedzieliśmy, drapieżnie zabiegał. Potrafił każdego sobie zjednać, zręcznym, delikatnym pochlebstwem szeptanym poufnym tonem zwierzenia. Nawet gdy się znało jego bezwzględność w postępowaniu, próżność i snobizm zapominało się o tym, gdy tak patrzył bezradnie i serdecznie wielkimi, brązowymi oczami łagodnego psa; sam dźwięk jego głosu uwodził, pieściwy, ciemny, aksamitny. Porzucił był naukę dla synekur i reprezentacji. Z dawnego zamiłowania została mu miłość do książek, gromadził je ze znawstwem — czytać nie miał czasu.

Do kolegów uniwersyteckich odnosił się z pobłażliwą pogardą i rzadko kogo z nich zapraszał, chyba majętnych i utytułowanych. Łatwiej jest bogatemu przejść przez ucho igielne niż archeologowi klasycznemu stać się zamożnym. Niedarzycki dokonał tego. Żonę kochał miłością drapieżną i zazdrosną i poświęcił jej cały wysiłek życia. Aby bawić, zachwycać i związać ze sobą tę śliczną i pustą istotę, gotów był do wszelkiej ofiary, pierwszą, jaką uczynił była rezygnacja z pracy naukowej.

— Wie pani, co ja tu robię? Uczę się słówek greckich!

Ach, więc nie litanie odmawiała, ale uczyła się słówek; nie wiem co z dwu rzeczy było dziwniejsze.

Usiadłam przy niej na stopniu, tyle, że w cieniu.

— Od dwu lat się uczę, od czasu jak Kocio umarł. Chcę poznać to, co on kochał. Czytam nawet Homera ale dopiero czwartą pieśń. Po ślubie Kocio przywiózł mnie tu. O, na tym miejscu siedzieliśmy. A on ślicznie mi tłumaczył, z jakiego czasu te budowle i kto je wznosił i jak to wyglądało w różnych epokach i dlaczego to piękne. Pani wie, jak on ślicznie mówił. Ja słuchałam i słuchałam, ale tylko jego głosu bo słowa mnie nudziły, wolałabym, aby co innego mówił, o mnie samej, a nie wciąż o starożytności, bo to tak jakbym niepotrzebnie się urodziła. No i rozpłakałam się w końcu, a on się przestraszył mego płaczu. Nie wiedział, jaka ja głupia i że chciałam jechać do Paryża, na Riwierę. Płakałam, a on wciąż pytał. Wreszcie się przeląkł, że może ja coś przed nim zataiłam i kogoś żałowałam. Więc musiałam mu wyznać, że mnie nudzi Perykles i Fidiasz i że ja do Paryża chciałam. I wie Pani, żeśmy jeszcze tego samego dnia wyjechali! A w Paryżu, to nawet jak ja chciałam iść do jakiego muzeum, to on mnie prowadził do jubilera, do kabaretu, do teatru. Ach! szaleliśmy. No cóż, miałam siedemnaście lat. Żyliśmy ze sobą dwadzieścia trzy lata, a nigdy przy mnie nawet nie wspomniał nad czym pracuje, a ja go nie pytałam. Wystarczyło mi, że go wszyscy chwalą, że nam się dobrze wiodło. Raz tylko, gdy był kongres w Atenach i zastanawiałam się, czyby się z Kociem nie wybrać, to jakoś dziwnie stanowczo powiedział, że nie, i że mam sama jechać do Paryża.

Jak Kocio umarł, wszystko odrazu zrozumiałam i samej sobie nie mogłam się nadziwić, skąd tyle we mnie głupoty i samolubstwa się wzięło. Tak ja i prawosławną religię rzuciłam i stałam się dobrą katoliczką, bo Kocio taki był surowy w sprawach religii i nad książkami ślęczę — plasnęła ręką w okładkę książki. — Nie ma chyba nic trudniejszego od greckiego języka...

W całej jej postaci była jakaś kruchość żałosna, jak u człowieka, który dopiero niedawno pojął, że jest istotą śmiertelną. Ręce jej i szyja bez pereł i diamentów, pokryte piegami zwiotczałe i biedne, tak niepodobne były do dawnej pysznej piękności, że zasmuciłam się.

Pszczoła zabłąkana może aż z gór Hymetu, uderzyła w locie o kolumnę jak o ściany więzień. Pani Laura skarżyła się cichym zdziwionym głosem — ... i style wszystkie poznałam i ruiny podziwiałam. I tak sobie ciągle myślę, czy też tam mój Kocio patrzy na to z nieba i czy się cieszy, czy rad?..

Wiotka trawka wyrastająca ździebełkiem w szparze między blokami marmuru ugięła się pod mrówką.

— A pani się to wszystko naprawdę podoba? — nagliła szukając moich oczy — czy też pani tak tylko dla towarzystwa jeździ?

Anna Kowalska

rysunki M. Hiszpańskiej

Rozmowa z Wacławem Rzezaczem

Przeczytałem „Krawędź". Wrażenia z lektury są i bardzo bezpośrednie i bardzo świeże. Świeże dlatego, że skończyłem czytać przed kilku dniami, bezpośrednie bo mieszkam na Śmichowie, na tym przedmieściu Pragi gdzie zaczyna się akcja powieści.

Życie na Śmichowie ma swoje specyficzne cechy, ma swoją właściwą atmosferę mieszczańską, swoje smutki i uśmiechy. Spokojna, monotonna, senna nawet jest codzienność Śmichowa. Ale w tej codzienności dzieje się i to na pewno dużo.

Mnie osobiście powieść Rzezacza pokazała ludzi, których mijam dzień w dzień na ulicach Śmichowa, wychodząc z domu czy wracając do domu.

Rzezacz mówi, że w gromadzie mijanych na Śmichowie przechodniów można spotkać i Austa i Jardę i Adę. Kto wie czy ta starsza Pani którą minąłem, idąc na spotkanie z Rzezaczem, nie jest właśnie panią Paszkową...

Pomimo to, obawiałem się, że rozmowa z Rzezaczem może wpłynąć na mój raczej już ustalony sąd i wrażenie z lektury „Krawędzi". Co może interesować czytelnika, który spotyka się „oko w oko" z autorem książki? Przede wszystkim chyba plotki.

— Austa spotkałem podczas mojej dwudziestoletniej pracy biurowej w Urzędzie Statystycznym — mówi Rzezacz. — Po mnie nie odziedziczył on żadnych cech biograficznych. Choćby ten fakt, że był do czterdziestu kilku lat samotny. Ja ożeniłem się mając bodajże 22 lata, ale to już sprawy osobiste. Cóż może mnie łączyć z Austem? Może to, że piszę z trudem, że przeszedłem przez te same trudne doświadczenia człowieka, który chce, który musi coś stworzyć, coś po sobie zostawić...

— Czy w tym ostatnim zdaniu nie kryje się geneza „Krawędzi"?

— Pewnie — odpowiada Rzezacz — niech pan pomyśli, Aust czy Haba są ludźmi, którzy znaleźli się właśnie na krawędzi. Ileż to ludzi staje nagle pewnego dnia przed problemem: dokonać czegoś, stworzyć coś, przed problemem zmarnowania czy też wypełnienia życia czymś, co się po sobie zostawi.

— A z rzędu plotek, jeśli pan pozwoli, czy model Austa, dokonał czegoś?

— Myślę, że nie przeczyta w „Odrodzeniu" tego co o nim powiemy.



Wacław Rzezacz

Wydał dwa tomiki okropnych poezji. I to własnym kosztem. Prócz tego nie napisał nic i — chyba nic już nie napisze. Jakkolwiek zna wspaniale technikę pisania i rzeczywiście ma pełne biurko, czy pełną walizę, niedokończonych rękopisów, tak jak Aust...

— A Haba?

— Urodziłem się — mówi Rzezacz — na Starym Mieście. Nigdy zresztą nie mieszkałem poza Pragą. Stare Miasto. Ulica Hasztalska. Od świętego Hasztala. Dotąd nie wiem, co to za dziwny święty. Dom „u Krzižu". Nie ma już tego domu. Na przeciw klasztor świętej Agnieszki. Uliczka Rzasnovka. Niedaleko jest plac św. Wojciecha. — Mieszkając już na Ferdinandce (obecna Narodni trzida) chodziłem do szkoły św. Wojciecha. Naprzeciw szkoły była żeńska akademia handlowa rodziny Hlavaczów. — Stąd pierwszy rozdział „Krawędzi". Na Ferdinandce mieszkałem w domu narożnym naprzeciw Narodnego Divadla. Tam zobaczyłem Habę. Sam Haba jest postacią nierzeczywistą (zresztą, która z postaci powieści jest w ogóle rzeczywista? — plotkujemy proszę pana, p l o t k u j e m y). Może Haba ma coś z Edwarda Vojana? — Vojan to był największy aktor czeski. Zmarł już dawno w r. 1922.

— A reżyser?

— To całkowity wytwór fantazji. Może gdzieś, jakieś, wspólne cechy. Moi czytelnicy tutaj dopatrywali się aluzji.. Mogę pana zapewnić: — sam słabo sobie zdaję sprawę z tego, kim był, czy kim jest reżyser. To mało ważne. Właściwie najchętniej nie rozmawiałbym o tym kto, co, jak. Książka jest książką a życie jest życiem. Inna rzecz to pytanie, jak bardzo pisarzowi udaje się „podrabiać", naśladować czy fałszować rzeczywistość...

— Powiedział pan, jako autor „Krawędzi" skąd pochodzi tytuł tej książki. Równocześnie zastrzegł się pan, że książka, o której mówimy nie ma cech autobiograficznych?

— Tak, o ile każda książka nie jest autobiografią przeżyć wewnętrznych tego, kto ją pisze, kto tworzy. „Krawędź" jest dekonspiracją procesu tworzenia się dzieła w pewnym ograniczonym zakresie. Chciałbym, żeby czytelnicy zwrócili uwagę na scenę pijacką w „Krawędzi". — Zresztą, trzeba w ogóle zwrócić uwagę w „Krawędzi" na te momenty, gdzie postaci tworzone przeze mnie polemizują ze mną, krytykują mnie — i zaraz prawie na następnych stronach rozwija się ciąg dalszy koncepcji, rodzi się nowy wątek, czy dalszy ciąg wątku poprzedniego. Autobiografia w „Krawędzi" — to przede wszystkim własne, długie doświadczenia twórcze, własne paranie się z trudnościami, jakie ma przed sobą każdy, kto tworzy.

— Co pana naprowadziło bezpośrednio na myśl zdekonspirowania warsztatu pracy pisarskiej?

— Może fakt że koncepcja „Krawędzi" powstała w miarę pisania tej książki? Z własnych doświadczeń wiem jedno, książka dojrzewa we mnie z chwilą, gdy widzę cel jej powstania.

— Czy długo pan pisał „Krawędź"?

— Dojrzewała dwa lata. Pisałem około 11 miesięcy. Teraz już 4 lata nic nie piszę. Może zabiorę się na jesieni do powieści o naszej czechosłowackiej drodze do socjalizmu. Jestem komunistą, mam obowiązki wobec społeczeństwa. Chcę wziąć się do spraw z czasów okupacji Nie wiem jeszcze, czy dotknę tych spraw bezpośrednio, czy pośrednio, przenosząc akcję na dziś.

— Jeśli można wrócić jeszcze do tajników pana warsztatu pracy. — Mówił pan o trudnym pisaniu...

— Tak. Moją pierwszą książkę „Wietrzna siejba" pisałem 2 lata. „Ślepą uliczkę" 3 lata. Pierwszy rękopis spaliłem, nie zostawiając ani jednej notatki. Pisałem potem od nowa Najkrócej bodajże trwała praca nad „Czarnym światłem". Zresztą pierwsze dwadzieścia lat mojej pracy nie były łatwe. Od pół do siódmej do pół do trzeciej „urzędniczenie". O czwartej po południu siadałem do pisania. Szedłem spać koło północy. Tak było długie, długie lata. — I właściwie dopiero dzięki temu, że książki moje zaczęły wychodzić w klubie książki, — właściwie dopiero dlatego odsapnąłem. Nakła i Knihovni Lidovych Novin dochodził już przed wojną do 35 000 egzemplarzy.

— Wybaczy pan jeszcze. Ktoś się pytał czemu kobiety w pańskich powieściach są silniejsze i bardziej „prostolinijne"? — Czy to manifestacja pańskich poglądów na świat?

— O tyle o ile. Byłem u was w Polsce. I obserwowałem to, co u nas w Czechosłowacji zaczęło się wcześniej. Kobiety w bardzo wielu wypadkach okazują się prostsze i mniej skomplikowane niż my. A w każdym razie są bardziej niż my zaradne życiowo. — Na wybrzeżu, dokąd pojadę w tym roku, na Śląsku czy w Warszawie, widziałem dziesiątki kobiet, które straciły wszystko, zostały same, a przecież nie załamały rąk. Pracują, utrzymując siebie i dzieci. Dają sobie radę z życiem. — Piękny temat dla waszych pisarzy. — U nas w Czechosłowacji wystarczy rozejrzeć się w życiu społecznym, czy politycznym. Proszę sprawdzić ile kobiet jest tu na bardzo wysokich, bardzo decydujących stanowiskach. Czy zwrócił pan uwagę, że dotychczasowy układ sił w świecie, to rozłożenie pracy na barki mężczyzn i kobiet — zaczyna ulegać bardzo stanowczym wahaniom?

— A nie porozmawiałby pan jako autor „Krawędzi" na ten i na inne tematy z czytelnikami w Polsce?

— Będę w lecie nad Bałtykiem. Międzyzdroje, albo Ustka. Najchętniej zaszyłbym się gdzieś w jakąś mysią dziurę, żeby odpocząć. Film, w którym pracuję, męczy. Chcę znowu pisać, przygotować się do pisania. Jadąc nad morze zatrzymam się w Warszawie. Wtedy rzeczywiście można by pomyśleć o wieczorze dyskusyjnym w Klubie Książki. U nas Kluby Książki mają starą tradycję i odegrały olbrzymią rolę. Zresztą uważam, że żadna lektura, żadna obserwacja przez okienko, nie daje autorowi tyle, co bezpośrednie rozmowy z czytelnikami ..

Dziękując za rozmowę muszę powiedzieć, że kilkakrotnie miałem wrażenie jakgdybym rozmawiał nie z autorem a z czytelnikiem „Krawędzi"

Kiedy w dzień po rozmowie z Rzezaczem spisuję jej treść, wrażenie okazuje się trwałe.

Rozmowę przeprowadził

Andrzej Piwowarczyk

Notatnik muzyczny

XXVIII koncert symfoniczny

Wystarczyło zamknąć oczy, a zjawiał się w myśli obraz dawnej Filharmonii, z jej światłami i podejrzaną malaturą na sklepieniu — (pamiętam specjalnie Apolinarego Kątskiego, ile razy spojrzałem ku górze) — to Zbigniew Drzewiecki gra koncert F—moll Chopina. Hej — łzy się kręcą, nic się nie zmieniło — owszem, zamiast Kątskiego straszą ze ścian okropne rzędy infulastych biskupów, (kto rzeźbił — na Boga, te kryminalne płaskorzeźby w „Romie"?) a młodzież dalej kształci swój smak i wrażliwość muzyczną na koncertach Chopina. Niebezpieczny jest czar tych koncertów: ludzie biorą w nich za istotę Chopina to co w nich mglistego — ich marzycielskość i romantyczną melancholijność. To wszystko znajduje się w dużych ilościach w koncertach Chopina i dlatego lubię podkreślać zdrowy klasycyzm, plan harmonii preludiów i nie kończącego się wprost bogactwa zdyscyplinowanej fantazji, którą jest zbiór mazurków.

Koncerty Chopina są jakby generalną próbą mistrza, mocującego się z nawpół symfoniczną formą i dlatego kto wie, czy w wielu umysłach nie pozostaje u nas jakiś specjalny piedestał dla tych dwóch koncertów, stawiający je na osobnym cokole. Lecz trudno, sentyment i tradycja mają swoje prawa, pięknie jest hodować je w Warszawie, która zna — jak żadne inne miasto na świecie — swoje koncerty Chopina.

Drzewiecki zna też — jak mało kto — charakter każdej ich części. Ten znakomity muzyk i pedagog jest równocześnie poetą.

Z wielkim entuzjazmem przyjęła sala uwerturę Antoniego Szałowskiego. Jej pełne blasku, świetne „odzywki" i temaciki oraz blask realizacji tego dzieła są zawsze porywające. Grana bardzo szybko, z bardzo głośną perkusją, zatracała się nieco jej mistrzowska przejrzystość.

Za to w VI symfonii Czajkowskiego mieliśmy przykład najwyższej miary interpretacyjnej. Walerian Bierdiajew był wspaniały, gorący, patetyczny, znający „swego" Czajkowskiego tak, że można uderzyć w ton najwyższych pochwał: „patrzcie, patrzcie młodzi..." Orkiestra odczuła to, wykonała „Patetyczną" tak dobrze, szła za dyrygentem tak wiernie, że wykonanie to zaliczam do najlepszych, jakie w powojennej Warszawie słyszałem. Ostatnia część, słynne adagio lamentoso, było przejmujące, zawieszenia wszystkich pauz sprawiały, że cała sala zastygała w oczekiwaniu na wejście następnej frazy. Stary, namiętny i tragiczny Czajkowski w najlepszym swym dziele znalazł tu wykonawcę, zrośniętego każdym fibrem swej muzykalności z tym stylem, znającego z najlepszych, nikischowskich tradycji wszystko, co w tej epoce było największe, najbardziej wartościowe i co znalazło w „Patetycznej" najpełniejszy swój wyraz.

Zygmunt Mycielski

Teresa Roszkowska — Wieś w górach

(Z wystawy grupy „Powiśle")

Berlin — wyspa nieznana

(Dokończenie ze str. 3)

żenia każdej ofiary — mówca... opuścił Berlin samolotem".

Dziwne dzieje w roku 1948 stołecznego miasta Berlina podziałały na Berlińczyków otrzeźwiająco. Prysnął mit amerykański. Amerykanie ośmieszyli się bombastycznością swoich wypowiedzi i paniką, którą sami wywołali i której sami padli ofiarą.

Berlin będzie w przyszłości za lat X stolicą Republiki Niemieckiej. To jest pewne. Lecz Berlin nie będzie stolicą Niemiec Zachodnich w środku Niemiec Wschodnich, jako bastion antysowiecki polityki amerykańskiej w Europie. To jest również pewne po marcowo-kwietniowym kryzysie.

A w chwili obecnej Berlin jest stolicą w zawieszeniu, stolicą nie działającej od kilku tygodni Sojuszniczej Rady Kontrolnej Niemiec. Poza tym Berlin ma zaszczyt być jedynym skrawkiem ziemi niemieckiej, nad którą faktycznie władzę wykonują **w s p ó l n i e** przedstawiciele czterech mocarstw, zgodnie z uchwałami poczdamskimi.

Sam Poczdam znajduje się poza obrębem Wielkiego Berlina już w strefie sowieckiej. Dziwnym przypadkiem uchwał Poczdamu bronią z kamiennym spokojem tylko przedstawiciele władz sowieckich. Amerykanie, Anglicy i Francuzi weszli na niebezpieczną drogę pomijania uchwał poczdamskich i przygotowywania podziału Niemiec Po próbie podziału Niemiec zrobili próbę podziału Berlina. Próba się nie powiodła.

Berlin — tak twierdzi znajomy mój optymista — pozostanie bazą przyszłej jedności Niemiec i przyszłej jedności... aliantów.

Berlin — tak twierdzi znajomy mój pesymista — pozostanie na długie lata wrzodem Europy, stale zatruwającym pokój świata.

W Berlinie — powiedział mi pewien neutralny obserwator — mocarstwa uprawiają karkołomny taniec na linie Należy jednak zawsze pamiętać, że zawodowi tancerze na linie mają niewątpliwie silniejsze nerwy, niż przyglądający się z dołu widzowie.

Sądzę że wszyscy trzej moi rozmówcy mają po trosze racji. Za dwadzieścia lat będziemy mogli to osądzić zupełnie obiektywnie.

Edmund Osmańczyk

JÓZEF MAŚLIŃSKI

„...Gdym nicość moją wyspowiadał”

czyli – młodość Szekspira*)

rys. Jerzy Zaruba

Adolf Rudnicki

Gdzieś 15 lat temu, w redagowanym przez Józefa Czechowicza, a wydawanym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego „Miesięczniku Literatury i Sztuki“ czytaliśmy — wówczas: „żagaryści“ wileńscy — dwie nowele Adolfa Rudnickiego. Jedna była o Cywii, drugiej już nie pamiętam. Czytaliśmy je zafascynowani. Robiliśmy wówczas tak zwaną „awangardę“, zwalczaliśmy „Skamandra“. Inna rzecz jednak zacietrzewienie walki, a inna matołectwo, toteż „historyczne zasługi Tuwima i s-ki dla rozwoju języka poezji polskiej“ itd. docenialiśmy zawsze, i to szczodrze — jak w mowie pogrzebowej, od której delikwent miał wyciągnąć kopyta i nie straszyć więcej... Taki zabieg magiczny, w sam raz dla poetów — dwudziestoparolatków.

Otóż „awangarda“ nie miała swoich prozaików. I tu nagle ten Rudnicki: o! bynajmniej nie ktoś z rodzinki, nie: — mimowolny sojusznik. Po za całym urokiem własnym (słodkim dla szczeniaków urokiem gorzkiego życia) miały te nowele inną cechę zachwycającą. Dobrze wyakcentowany „język potoczny“ Skamandra był w nich, i nastrój, i niewyraźne echa witalistycznej filozofii, i cały skamandrowy kunszt — opanowany i przezwyciężony. W prozie! A ponieważ nie należy włazić przez lufcik, jeśli są drzwi — uczył jeszcze Sałtykow — Szczedryn, także Stendhal i in., przeto, rozkoszne przeto — wiersze skamandrytów są już tylko nieporozumieniem, zastarzałym anachronizmem: udowodnione, amen.

Niedługo potem konkurs „Pionu“ na nowelę wywołał coś w rodzaju klęski głównej: żywiołowy zalew liryczny zwierzeń, ględzeń, zeznań i anegdot — wszystko prozą i dlatego „nowel“. Pisałem w związku z tymi ekscesami, że w dobie nie odpisywania na listy, te porywy, które kiedyś trzymała w rozumnych karbach zanikająca od dawna piękna sztuka epistolarna, tędy szukają sobie ujścia, że nowela traci swój epicki charakter i staje się pretekstem do lirycznych, niekontrolowanych wywnętrzeń.

A jeszcze później Witold Gombrowicz w swym znakomitym „Ferdydurke“ (na którym, żal było patrzeć, ilu krytyków się przewróciło) zwoływał pospolite ruszenie drugorzędnych. Nie pozujcie na wielkich pisarzy, pisał, nie róbcie sobie gęby — piszcie o sobie i tylko o sobie, skoro jesteście drugorzędni. Ta prymitywna uczciwość i pokora to wasz jedyny ratunek, ażebyście — w swej drugorzędności — cośkolwiek mogli światu powiedzieć. Literatura nasza zna jednak nieporównanie okazalszy precedens zakradania się do potęg przez furtkę pokory, to w „Dziadach“ ksiądz Piotr, któremu starczyło sił na czarta, gdy chce z niebem rozegrać zwycięsko partię, przegraną przez Konrada, biczuje się deklaracją, że jest „prochem i niczem“ Ale — dodaje natychmiast — „gdym tobie moje nicość wyspowiadał, ja proch, będę z Panem gadał...“ A więc i poeta i prozaik proponują niby to samo? Zobaczymy dalej, że nie to samo, choć wychowani pod urokiem wielkiej literatury romantycznej łatwo te rzeczy mylimy, ze szkodą tak dla prozy jak i dla poezji.

I oto nareszcie Adolfa Rudnickiego patetyczna suita opowiadań, mająca przede wszystkim dać świadectwo bezpośrednim i pośrednim ofiarom najazdu ludobójców. W opowiadaniach tych, czytanych pilnie przez rzesze czytelników przekraczające bodaj normalny zasięg „Kuźnicy“, w której się ukazywały — pierwiastek osobistych wywnętrzeń, zwierzeń na temat sztuki pisarskiej, jej uroków i jej niemocy, występuje tak często i tak silnie, że to nie tylko przekracza normy konwencjonalnej inwokacji, znanej w literaturze od czasów starożytności (prośba o siły dla sprostowania zamierzonemu dziełu), ale w sutym nadmiarze spełnia desperacki postulat Gombrowicza.

*) Adolf Rudnicki — „Szekspir“ Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“ Warszawa 1948 r.

✤

Stwierdzając fascynujące oddziaływanie opowiadań Rudnickiego, nie łatwo przecież uchwycić, na czym to zjawisko polega. Czy że zaczynane prosto, jak list od przyjaciela, jak gawęda, nabierają po drodze patetycznej siły i rzeczywiście zaspakajają potrzebę „świadectwa prawdzie“, potrzebę elegii, potrzebę pomnika? Ależ to nie są bynajmniej twory monumentalne! Spiżu tak mało: autor troskliwie unika okolic, gdzie natknąć by się można na c y m b a ł b r z m i ą c y. Więc może dostrzeżono w nich żywioł epicki właśnie, autentyk, wszystkowidzące owadzie czy rasowego opowiadacza rzeczywistości i — przelatując nad partiami innymi, jak nad opisami przyrody u niedawno zdetronizowanych mistrzów — szukano pożywki dla „zmęczonych, powojennych nerwów“ w nietrudnych do rozszyfrowania historyjkach, w spostrzeżonkach, w plotce? Czy też wreszcie, wobec tak oczywistego osłabienia liryki powojennej, właśnie prozaik Rudnicki znalazł łaskę w oczach głodnych, jako „ten, co krew od innych miał gorętszą“? — Poszlaki, kuszące poszlaki, a żadna nie wystarczająca. Spróbujmy cierpliwego opisu.

Z dziesięciu zebranych w książce opowiadań trzy tylko mają charakter rasowych noweli, a mianowicie „Koń“, „Ginący Daniel“ i „Czysty nurt“. Utwory pozostałe prowadzone są w formie opowiadania autorskiego, w formie gawędy. Nie unikając jako punktu wyjścia błahej nawet okoliczności z życia osobistego, z pewną podkreśloną jakby bezceremonialnością („nie po literacku“...) autor wypakowuje przed nami swój tęgo nabity plecak. I nie spostrzeżemy się nawet kiedy — ciągle w poszukiwaniu za jakąś błahostką, ot, za oddartą zelówką tułacza z 1939 roku, za żyletką, której nie było wówczas, gdy czarna, nieogolona broda mogła zaważyć o wszystkim — wysupłują się nagle rzeczy takie jak skrwawiona legitymacja partyjna krawca komunisty zastrzelonego przez szpiclów, jak andersowska legitymacja drogiego nam malarza Huberta, jak krwawy strzęp, pamiątka po wymordowanych w ghetcie, jak — oderwana głowa dobrej Jadwigi, zabitej w powstaniu: „ściągnięta i zgrymaszona jak łepek zdechłej kotki“.

Wybaczcie mi ten manewr z plecakiem. Nie zamierzam popełnić nietaktu zwanego recenzją impresjonistyczną. Chcę tylko przypomnieć dobitnie, że choć na naszą dolę przypadła literatura walki o jasne, klasyczne wartości, to przecież — podpatrywacze zachodnich wzorów — znamy się co najwyżej na literaturze obrony, której obcy jest smak sztuki klarownej i harmonijnej. Jazz faktów oraz idei wdarł się t a m z życia, a smaga n a s z e nerwy! Tę sztukę jazzu przyjął Rudnicki po prostu, jako sztukę swoich dni — choć posługuje się formą tak staroświecką jak opowiadanie, gawęda, zamaskowany list do przyjaciela.

Trzeba ocenić mistrzostwo tej roboty. Już choćby stosunki czasowe, sposoby, jakimi autor przerzuca się w czas odległy od momentu opowiadania, by dostarczyć nowych argumentów, albo po prostu — barw kontrastowych, już te rzeczy dostarczają wiele radości miłośnikom dobrego pisarstwa. Żeby osiągnąć swoje, Rudnicki potrafi „czarować“ w gawędzie. Opowieść staje się tak artystyczna, że niemal kuglarska — jak muzyka, jak trele flecisty-szczurołapa.

Żeby opisać swój świat, stworzyć swoje „Komedie Ludzkie“, Balzac i jego mieszczańscy następcy płodzili całe biblioteki, tom za tomem. Dziś obserwujemy próby streszczania tomów do nowel, a bibliotek do książek. Sposobem owego „jazzu“? Nie tylko. Sposobem liryki również. Wiersz liryczny może swoją wizją ochwycić obszary, które ledwie pomieści tom prozy. To pokusa! Obok noweli Iwaszkiewicza „Stara cegielnia“ czytaliśmy w tym samym n-rze „Twórczości“ wiersz Miłosza, który ogarniał poważną część tego samego tematu mazowieckiej „ziemi jałowej“ pod okupacją. Tok opowiadania, jego nurt zgęszczony wolą nowoczesnego lakonizmu, a przecież apelujący ciągle do uzupełnień i skojarzeń, już sam przez się wywołuje dokoła siebie „pole“ napięć lirycznych. Jeśli zaś tym dać ujście — a tak często robi Rudnicki (nie ulegając naporowi, ale wręcz szukając dlań wyrazu!) — nawet tacy, co normalnie „nie czytają wierszy“ są już tak nastrojeni, że ulegają bez reszty. Myślę, że wzięte razem, wystarcza to na wyjaśnienie fascynacji tych utworów od strony — na razie — formalnej.

Dać świadectwo prawdzie, wymierzyć sprawiedliwość w pamięci ludzkiej.

Mieliśmy już w historii naszej takich, którym się ta pamięć należała i takich, którzy sprawie tej pamięci poświęcali swoją sztukę. — „Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy“ (Żeromski). „Sławy rozgłośnej, sławy wielkiej chcę dla ciebie, człowieku z pod ziemi, człowieku bez imienia!“ (Strug). — „Reakcje ludzkie, narastające, stawały się nieczytelne w swej złożoności... Ludzie i dzieje, by nie zblakły, wymagają utrwalenia przez sztukę... Jeśli żaden pozostanie, niechby on to w Biblii napisał! Żeby ludzie za siódmego morza przyjeżdżali pod te mury — i tak płakali jak my dzisiaj“ — myśli i czuje Rudnicki.

Ażeby „dać świadectwo ich życia i temu nieludzkiemu i tak pięknemu ich końcowi“ (kiedy „lecieli jak groch“) język Rudnickiego, trzeźwy, żywy, bardzo wyrazisty wskutek swej potoczności, potrafi nabrzmieć tonem elegijnym, odwołać się do patosu Biblii („wszystką ziemię“, albo: „Wskazując na morze gruzu rzekła: — oto otwarcie naszych bram“), słowem w e z w a ć czytelnika do gestów solennych, a nawet wręcz nadwerężać się w nadużywaniu „zadrżycie!“ Ten zamierzony chwyt, stawka na liryzm, wymyka się — jak to opisywałem — kontroli przy lekturze pojedynczego opowiadania. W książce przy nagromadzeniu tych sposobów dość jednorodnych, kontrola taka powraca. To samo zjawisko występuje oczywiście i przy lekturze tomiku wierszy, ale że tam jesteśmy do niego przyzwyczajeni, że w dodatku poeta mógłby zawsze odpowiedzieć „a czego byś chciał“?! gdyż wiersz jako swego rodzaju aparat do przeżywania, (wtedy tomik — sala gimnastyczna) oblicza „na amatora“ i apeluje do dobrej woli — uważamy, że wszystko jest w porządku. Z prozą — gorzej. Jej komunikatywny język ma nas poinformować i przekonać. Odkrywając w niej pułapki liryczne ulegamy panice nieufności: naruszono prawidła gry! I to jest pierwsza porażka młodego Szekspira.

Kajanie się artystowskie, biczowanie swej sztuki, posypywanie się prochem, by potem wytężyć głos do ostatka — te wszystkie obrzędy magiczne w obrębie samej „siły słowa“ zawiodą, bo zawieść muszą. Poezjo, jesteś tyranem, jesteś błędnym kołem. Na szczęście, jest coś jeszcze, prócz derwiszów i proroków.

I ostrzegł przed złudną magią słowa, przed wykpiwaniem się od zadania przez takie np. „dostojny bzik tragiczności“. — „Świadczy ten bzik o niezdolności tworzenia nowych orientacyj literackich, one zaś nie mogą się wytworzyć, póki nie nastało poczucie nowych zadań twórczych, póki literatura nie dokonała r z e c z y w i s t e j zmiany“. Żebyśmy się wszyscy zmienili w proroków i derwiszów, nikt nie przyjdzie płakać pod murami. Zamroną sprawę najbliższe nawet, bo muszą zapomnieć, aby mieć siłę pchać bezustanku te litery gorącej krwi, potrzebnej nam do życia! Chodzi o to, żeby g ł o w y nie zapomniały. Cała robota musi być obrócona twarzą ku przyszłości! I ten hołd, ta i tylko ta forma miłości znanych — przetrwa. Szekspir twórcą, kreatorem.

Może już nie trzeba autorowi „Ucieczki z Jasnej Polany“ przypominać, że bez treści pozytywnych nie uniknie się stylizacji starych wartości. Ale rozumowany publicznie. — Rudnicki wystrzega się — może w słusznej obawie sztampowego — akcentowania świata wartości. („Wszędzie tam gdzie jest pozytywny rozrachunek, tam przypuszcza się bajkę“ — znów Irzykowski). Wiążąc że jeszcze mu za wcześnie, musimy to uszanować. Poprzez siebie, podkreślając w sposób swoich bohaterów, dopracowuje się dopiero poczucia, że społeczność jest naturalnym i stałym środowiskiem przeżyć. Jest ciągle szerzej w liryce, choć taki wspaniały „Ginący Daniel“ stawia wyraźnie proroczym bohaterem... I widać w Danielu, poprzez liryczną porywczość, jak dobija się głosu „proporcja człowieków w życiu człowieka rzeczywiście ważnych“ (Irzykowski), wystarczy niewielkiego już przechylenia szali wewnętrznych ocen autorskich, a wyzwoli się w tym pisarzu żywioł epicki, tak znakomite już zadatki prezentujący w ekspozycjach sytuacji poszczególnych opowiadań (np. sprawa paszportów zagranicznych, albo ów most na Chłodnej), w umiejętności zadzierzgnięcia węzła intrygi (niezaciemnione światło w „Koneckim“), w kiasie gawędy (sytuacja we Lwowie), w setce smakowitych podpatrzeń i podsłuchań (np. „kwestia“, „wynik“ itp.), dowodzących daru, którego obecność czyni żywot lżejszym i sensownym — owych metaforycznych „owadzich oczu“.

Budująca jest zwięzłość słowa u Rudnickiego, ile razy zbliżamy się do epiki czystej. Przyroda; ileż symfonii werbalnych na temat przyrody wlało się w tradycję naszej powieści. Rudnicki pisze jak klasyk: „woda już nie rozsadzała naczyń, ziemia wracała do życia“ i koniec z opisem wiosny. O mieszkaniach mieszczańskich — że są „uprawiane jak ogrody“ z dywanami i meblami jak słonie. O kobiecie klęczącej na Zaduszki: „nieruchoma jak krzesło“. O tradycjonalistach — „w literaturze jak w handlu, druga ręka jest tylko drugą ręką“. O własnych perypetiach światopoglądowych: „Przybywszy w grudniu do Lwowa byłem jak ciasto rzucone na duży ogień: gwałtownie zarumieniony na zewnątrz, lecz w środku nietknięty“. (Nawiasem, skoro już jesteśmy przy stylu: zdania typu — „jasne się stało, że przeszło sześćdziesiąt osób — tylu nas się zebrało — trzeba pozostać na miejscu“, albo „Niewiem do którego rodzaju trzeba dołączyć, aby być wygranym. Maciej Lewicki dołączał w każdym okresie do innego rodzaju, ale nie wygrał“ — powinnyby przejść przez rewizję korekty autorskiej; (jest ich więcej!). Żywy stosunek do słowa demonstruje Rudnicki również na zamknięcie książki: — „...nie zdążyłem nawet porządnie uścisnąć ręki mojemu tak bardzo doświadczonemu Szekspirowi“. Ten podwójny sens słowa „doświadczony“ w tej pozycji ma kapitalną wymowę dobrej pointy w wierszu.

✤

W „Wielkim Stefanie Koneckim“ uderzające po prostu jest, jak bardzo autor dzieli razy ironii, kuksańce dyskredytacji, pomiędzy swą ofiarę i siebie. Gra akcentów satyrycznych i dyskretnego współczującego zrozumienia staje się w ten sposób głęboko ludzka, wciąga i przykuwa do spraw, które daleko wykraczają poza taki czy inny jednostkowy wypadek z gawędy. — „W majorze Hubercie z armii Andersa“ to samo. By zdobyć pewność, że piękno sylwetki malarza Huberta wystąpi przekonywająco, autor siebie czyni „prochem i niczym“, siebie podkłada tamtemu do startu w naszej wyobraźni Żeby wytłumaczyć tamtego błąd polityczny, który mu złamał sztukę i życie — opowiada o sobie na ulicy „dawaj nazad“. To samo wyczuwamy w historii Abla, to samo w „Danielu“, w „Szekspirze“ — głęboko ludzka, uczciwa gra w otwarte karty, znakomicie prosty, niezawodny pierwszy krok duszoznawcy. Powstaje pytanie, czy należy się z tym obnosić, jak radził Gombrowicz, — czy przy powtarzaniu tego jako chwytu literackiego nie groziłaby jakaś obrzydliwa maniera, ale to dalsza sprawa.

I sądzę, że teraz dopiero, od strony treści, możemy naprawdę odpowiedzieć na pytanie, co fascynowało czytelników Rudnickiego. Oto, że znaleźli nie kaznodzieję, ale artystę, który mówiąc o sobie i swoich, gra na takich strunach, których by czytelnicy sami nie dopuścili do głosu. Poczucie współodpowiedzialności za sprawy świata, pokora już nie rzemieślnika sztuki słowa, ale duszoznawcy i przyszłego moralisty wyrażają się tu bez pomocy deklamacji gotowych formułek. Zacznijmy egzamin od samych siebie — powiada pisarz. I tak to mówi, że czytelnicy idą za nim. To jeszcze nie jest ani sąd, ani owa grecka Katharsis, to dopiero oczyszczanie pola. Pod szczerą, piękną sztukę, w której będzie wszystko.

✤

Przerywniki dążą do wyrazu elegijnego i choć są w modnej manierze „gryzmołów zreumatyzmowanej ręki na pudełku od papierosów“ na pierwszy rzut oka chciało by się je pochwalić — niby że tą elegijnością właśnie współbrzmią z tonem książki. Niestety — i tu jest problem naszych ilustracyj w ogóle — są one niehumanistyczne, są właściwie grymasem. To też można jeszcze oglądać te p r z e d tekstem, wprowadzające niejako. Najlepsze z nich: przed opowiadaniami „Koń“, „Hubert“ i — van goghowski — przed „Piękną sztuką pisania“. Natomiast rysunki p o tekście, po tak nasyconym ludzką treścią tekście, musiały albo ograniczyć się do roli ściśle ornamentacyjnej, albo zdobyć się na sprostanie treści. Inaczej, uczciwszy uszy, przypomina się przysłowie: „gdzie konia kują ...„i w ogóle brzydkie wyrazy — po kilka razy.

*

Cóż to jest — Szekspir?

Nieoceniony Karol Irzykowski czterdzieści lat temu pisał, że inna jest rzecz „zasoby pamiętnikowe“, których wystarczy w sam raz na fascynujący debiut, a inna — „konsekwentne, twórcze rozwijanie tematu“. A pisarzom „dającym świadectwo“ w słowach spiżowych i w lirycznych wersetach wytykał: dajecie tylko „zwierciadło kokietki“.

Józef Maśliński

Zamieszczając ciekawy i wnikliwy essay Józefa Maślińskiego o Adolfie Rudnickim, redakcja „Odrodzenia“ podtrzymuje nadal swe wielokrotne wypowiedzi na temat stylu publicystyki literackiej.

W najbliższych numerach „Odrodzenia” ukażą się:

Jerzego Boreiszy: »Jeszcze raz w sprawie kawiarnianych klasyków« i »Krochmalizm i realizm« oraz głosy w sprawie książki Andrzejewskiego »Popiół i diament« i filmu Jakubowskiej »Ostatni Etap«; **Romana Bratnego**: Kurs na »Toteżpolskę«; **Władysława Broniewskiego**: Wiersze; **K. I. Gałczyńskiego**: Msza żałobna; **Mieczysława Jastruna**: dalszy ciąg »Księżniczki Izraelskiej«; **Grzegorza Korczyńskiego**: W lasach; **Anny Kowalskiej**: Nowele greckie; **Leona Kruczkowskiego**: Finale Berlina; **Czesława Miłosza**: Współczesna poezja chińska; **Wacława Rogowicza**: Anders Zorn i Mora; **Michała Rusinka**: Na zielonym globie; **Marii Rzeuskiej**: Czy mieliśmy poetów w VII wieku?; **Mariana Spychalskiego**: Skrypij; **Stanisława Szenica**: Stara Warszawa na trasie W–Z; **Jerzego Zagórskiego**: przekład Aragona: Piosenka Rady Miejskiej.

Szkoła krytyków, wydział proroków

Apel do wielbłądów

Kazimierz Brandys w felietonie „Po trzech latach“ (Kuźnica, 1948, nr 13 — 14) raczył był zauważyć, że nie wszystkie przepowiednie niżej podpisanego oraz jego przyjaciela Kazimierza Wyki się spełniają. I tak niżej podsygnowany, w rubryce wyżej oznaczonej tym razem nieco odmiennie, przed rokiem na wiosnę zapowiadał, że w prozie rozpoczyna się również przednówek, który potrwa znacznie dłużej aniżeli do zbiorów z ubiegłej jesieni. Po roku Brandys wspomina nam obydwum, że przednówek się skończył, i tomy prozy obecnej wiosny sypią się tęgo. Twierdzi więc, że widocznie przepowiednie tej parki czytać należy na opak. Być może przypuszcza również, że martwimy się z nie całkiem spełnionego proroctwa. Tak jak prokurator, który się bardzo smuci, kiedy łobuz okaże się porządnym człowiekiem.

Otóż chciałbym Brandysa zapewnić, że właśnie się cieszymy wspólnie z nim. I ilekroć w niniejszej rubryce chodzić będzie o proroctwa, którym wygłaszający je profeta życzy, ażeby się nie spełniły, tylekroć wyraźnie to będzie oznaczone tymi dwoma słóweczkami; wydział proroków. W ten prosty sposób w przyszłości będziemy się mogli lepiej porozumieć. Wyka powiedział mi nawet, że jest mu bardzo przykro, że na razie nie może tej radości objawiać w sposób przynależny krytykowi, to znaczy gderząc, grymasząc i postulując, ponieważ akurat jest zajęty wykańczaniem książki próbującej zbilansować dorobek prozy pierwszych trzech lat powojennych. Bo właśnie teraz jest pora taką kreskę przeciągnąć i zacząć rachunki od nowej strony i nowych na niej pozycyj.

Ale dlaczego proroctwo okazało się ważne tylko na przeciąg jednego roku? Ani sobie, ani też wszystkim prozaikom, którzy wydali tej wiosny pierwsze naprawdę po wojnie napisane książki, nie będę wmawiał, że to wzięła ich skrucha po przeczytaniu kilku felietonów wydziału proroczego. Jest nieco inaczej: po prostu te przeszkody, które przed rokiem i dawniej stawiałem jako powody przednówku — prozaicy wszystkim się zajmują, ale nie pisaniem książek — w dziedzinie prozy zostały usunięte. Prozaicy powrócili do biurek, rękopisów, pracowni swoich, a nawet są już niejakie oznaki ich odpływu z dyplomacji. Dlaczego nie proponuję, ażeby temu molochowi wypruć z brzucha poetów, o tym będzie powiedziane niżej.

Otóż, raz jeszcze powtarzam, nie będę wmawiał sobie takiego oddziaływania; sądzę, że sumienie prozaików ruszyło ich ze swej własnej mocy, a ja tylko głos tego sumienia podsłuchałem. Dość, że prozaicy zamienili się z powrotem na prozaików, a przestali być prezesami, redaktorami, publicystami, mówcami, społecznikami i czym tam jeszcze — wszystko na Jarosława Iwaszkiewicza zwalając. Ale dla niego podróże, kongresy i reprezentacja to też jest warsztat pisarski i nie wiadomo, z którego to zjazdu literatów możemy kiedyś przeczytać coś na kształt „Kongresu we Florencji“, zamieszczonego w „Nowelach włoskich“. Czyli jemu to nie szkodzi. Zostając ponownie prozaikami, prozaicy postąpili bardzo słusznie i na dalszą metę — bardzo społecznie. O to tylko chodziło w nie całkiem spełnionym proroctwie, dlatego się cieszę, stąd niecierpliwią się tomy na biurku Wyki.

To szczęśliwe w skutkach wejście prozaików w ich zawód właściwy posiadało też inne przyczyny. Bardziej prozaiczne, wszak o prozaikach mowa, ale dla każdego ważne. Oto dobry prozaik wyżyje dzisiaj w Polsce spokojnie z pióra maczanego w kałamarzu artysty a nie publicysty. Jeżeli posiada ponadto sprzed wojny książki publikowane teraz w nowych wydaniach, ma spokojną głowę, by nie podpędzany terminami przyczyniać dalsze tomy swoich dzieł zebranych. Ale poeta? Ale krytyk?

Sytuacja prozaiczna poetów jest całkiem odmienna. Spytajcie ich po redakcjach, po biurach, dyrekcjach, sekretariatach, kto depcze, załatwia, kto chwyta się bardzo doraźnych zajęć, kto, słowem, w kałamarzu artysty najrzadziej pióro macza. Poeci. Są, którzy byliby skłonni biadać nad tym i wymagać jakiegoś idealnego stanu rzeczy, w jakim poeta chodziłby tygodniami na spacer, na mecz i do kawiarni z tytułu finansowego napisanego raz na miesiąc wiersza i niczym więcej się nie zajmował. Pewnie, że poetom należy pomóc, należy ich odciążyć, ale — do granicy. Do granicy zawartej w tym twierdzeniu, że poezja jest tylko procentem od wielu doświadczeń, przeżyć, lektur, że poeta stając się fachowcem od poezji, specjalistą od chwytu, przestaje być poetą. Dlatego z samej zasady poezji wynika, że wyżyć z niej nie można i domagać się od niej tych usług nie należy. Dlatego wreszcie ci, co się znaleźli w brzuchu molocha, niechaj tam pozostaną.

Ale krytyk? Brandys w rzeczonym felietonie napisał ze złośliwą satysfakcją, że łatwiej spotkać wielbłąda na Marszałkowskiej niż tom prozy krytycznej. Niestety ma rację, tylko cieszyć się z tego nie powinien, bo on sam i jego koledzy prozaicy tracą na tym równie dużo co nieobecne wielbłądy. Na temat racjonalnej hodowli owych wielbłądów tyle się już zepsuło papieru, wszystkie te rady, nadzieje i zapowiedzi okazały się tak bezpłodne, że korzystając z uprawnień wydziału proroctw (nie wolno im się spełnić!) powiem na odmianę inaczej: nie wiem. Poprostu nie wiem. Nie wiem, dlaczego krytyków nie przybywa. A ci nieliczni co przybyli, zwłaszcza w tygodniku „Wieś“, taką ciągle przechodzą mutację głosu, że nie wiadomo kiedy śpiewać naprawdę zaczną.

Czy nie są może potrzebni? Są. Robota czeka aż w nadmiarze. Czy światowa proza powojenna, tylko proza, tak już wyschnęła, że chociażby informując o niej roztropnie młody krytyk nie znajdzie tyle zajęcia, że redaktorzy będą go w kawałki rozrywać? Będą go targać. Czy może nie wyżyje z pióra? Nawet się ożenić może. Więc gdzie jesteście, o ponure i milczące wielbłądy, na jaką jeszcze przynętę was wywabić, wołam wielkim głosem. Na zjeździe młodych pisarzy w Nieborowie wśród czterdziestu kilku uczestników było trzech krytyków płci męskiej. Dlatego płeć zaznaczam, ponieważ nie rozmawiałem z Anną Kamieńską o jej zamiarach. Z tych trzech jeden się cieszył, że już przechodzi do prozy, drugi zapowiadał, że przejdzie, a trzeci tęskni, kiedy zostanie historykiem literatury. O wielbłądy!

Tym gromkim „nie wiem“, tymi zoologicznymi wykrzyknikami kończę, ponieważ Wyce, mnie i nielicznym starszym wielbłądom ocalałym z pogromu wojennego jest coraz bardziej głupio, że Brandys ma rację, przechodząc Marszałkowską. I że ujrzawszy krytyka, gotów go do cyrku odesłać z zachwytu.

kjw

BELETRYSTYKA

„ZAGUBIONE KLUCZE”
Gustawa Morcinka

Powieść, Katowice, Wyd. Awir, 1948; str. 260.

Powieść tę Morcinek napisał w latach ostatnich, jej fabularną treść stanowią powojenne dzieje trojga emigrantów-Polaków; — ex-więźnia „KZ-tu“, ex-uczestniczki Powstania Warszawskiego i ex-markietanki (brak lepszego słowa na oznaczenie żołnierza-kobiety!) armii gen. Andersa na zachodzie Europy, we Włoszech, głównie w Belgii, przed podjęciem decyzji powrotu do kraju. Fabuła książki, raz po raz demonstrowana umiejętność obserwowania życia oraz trafność opisywania postaci emigracyjnych — mogłyby z powieści Morcinka uczynić pasjonującą lekturę i kapitalny obraz tamtejszej, jakże tragicznej, rzeczywistości emigranckiej. Mogłyby... gdyż niestety stało się inaczej. Inne były ambicje Morcinka, gdy siadał do pisania tej powieści. Należy to wyraźnie powiedzieć, by jednych czytelników zachęcić do poznania książki, innych — kategorycznie przed tym przestrzec. Powojenna rzeczywistość emigranckiego żywota — jest dla Morcinka tylko pretekstem, punktem wyjścia dla odtworzenia procesu walki duchowej bohaterów powieści o odnalezienie „zagubionych kluczy“ wiary katolickiej. Cała powieść jest właściwie wielkim i nieustannym opisem psychicznych stanów trojga bohaterów jest psychologiczną introspekcją przeprowadzoną w ramach reguły katolickiej. Jest to więc zupełnie odmienny Morcinek — od tego, jakiego znaliśmy dotąd. Dotychczas był to pisarz uprawiający pewien swoisty, elementarny, realizm. W „Zagubionych kluczach“ sięgnął po laury psychologizującego moralisty, co sprawiło, iż — niestety — książka jest trudno czytelna, dość nieprzekonywająca, bardzo „młodo-polska“. Wolimy Morcinka realistę.

Kazimierz Koźniewski

NAGROBEK W. PSTROWSKIEMU



rys. B. W. Linke

Nowe wystawy plastyków

W dziedzinie sztuk plastycznych, gdzie wybujałość zagadnień kolorystyczno-formalnych wyradza się często we wręcz szkodliwe sekciarstwo, należy radośnie powitać wszelkie indywidualne lub zbiorowe próby nawiązania kontaktu z rzeczywistością. Nie skostnienie, lecz dużą żywotność pomimo realistycznych skłonności wykazuje otwarta obecnie w Muzeum Narodowym wystawa grupy plastyków pod nazwą „Powiśle", obejmująca prace kilkunastu artystów o bardzo różnych indywidualnościach.

Katalog wystawy zawiera — prócz tekstu — po jednej reprodukcji każdego „Powiślanina", nie zawiera zaś — na szczęście — „rozgłośnych samoupojeń", do jakich przyzwyczajają, strasząc publiczność, elitarne odłamy plastyków.

Zasady grupy streszczają się w kilku słowach: ...„lojalność" wobec wszystkich kierunków w sztuce, równowartościowość wszystkich jej działów i — wysiłki związania sztuki z życiem". Dwa pierwsze punkty wypełnia „Powiśle" już dzięki należeniu doń przedstawicieli różnorodnych kierunków. Co do ostatniego, to, sądząc na podstawie zgromadzonych w Muzeum prac, kontakt z życiem polega głównie na jak najściślejszym zespalaniu i jednoczeniu formy z treścią, co stanowi bodaj czy nie najistotniejszą więź wewnętrzną grupy prócz wspomnianego w słowie wstępnym sentymentu dla wspólnej uczelni. Wystawa ma charakter tematyczny, co czyni ją na ogół przystępną dla widza, nie wpływając bynajmniej na obniżenie poziomu.

„Powiśle" liczy obecnie dziesięciu malarzy, trzech rzeźbiarzy i trzech grafików. Prócz prac tych ostatnich są dwa rysunki zmarłego niedawno prezesa grupy, rektora Ostoi-Chrostowskiego, którego wystawa pośmiertna odbywa się jednocześnie w sąsiedniej sali.

Ogromny dorobek twórczy tego wirtuoza grafiki został szczegółowo omówiony w starannie wydanym katalogu-monografii. Prócz grafiki artystycznej pokazano także tzw. użytkowe prace Chrostowskiego, jak dyplomy, zaproszenia, programy, okładki. Wszystkie zadziwiają wytwornością, niezrównanym rzemiosłem, którego zupełne opanowanie oddawało Chrostowskiemu wielkie usługi także w działalności pedagogicznej. Na równi z precyzją rysunku żądał Ostoja od uczniów czujności wobec zjawisk współczesnych, gdyż, jak twierdził, z wszystkich dziedzin sztuki, grafika najbardziej jest powołana do odzwierciedlania nurtu życia. Z pracowni jego wyszło wielu dobrych grafików o wyczulonym instynkcie społecznym i dokładnej znajomości technik graficznych. Najbardziej bodaj pobieżne omówienie poszczególnych etapów twórczości Ostoi-Chrostowskiego wymagałoby osobnego i obszernego sprawozdania. Pracom jego zarzucano niejednokrotnie pewną oschłość. Kompozycja jednak, gra czerni i bieli, niezrównana elegancja konturów są bez zarzutu, każda kreseczka staje się niezbędna artystycznie. Przykładem niech posłużą exlibrisy, złożone — przy całym swym bogactwie i ozdobności — jedynie z koniecznych elementów.

Tak nieskazitelna poprawność i ścisłość kompozycji i wykonania może onieśmielić widza pozornym chłodem, lecz jakże płynna jest granica pomiędzy epiką a liryką!

Skoro już mowa o grafice, wspomnieć trzeba, że dział ten reprezentowany jest w grupie „Powiśle" przez profesorów E. Bartłomiejczyka i T. Kulisiewicza oraz asystenta śp. Chrostowskiego — Cz. Borowczyka. Bartłomiejczyk dał szlachetne i spokojnie skomponowane rysunki fragmentów Warszawy. Kulisiewicz sprawił swym wielbicielom kolejną niespodziankę, która świadczy o jego nieustannych poszukiwaniach twórczych. Tym razem oparł się on o zdobycze rysunku francuskiego ostatniego trzydziestolecia, pozwalając w tej wygodnej pozycji igrać urokom swej wspaniałej sztuki rysunkowej. Borowczyk, choć bardzo jeszcze przejęty (jakże sugestywnymi!) wpływami Chrostowskiego, zdradza rozmach i samodzielność.

Rzeźbiarze Karny i Masiak — (należący do grupy prof. T. Breyer nie wziął udziału w wystawie) — dali kilka dobrych prac. A Karny lubuje się w mocno charakterystycznym portrecie. Głowy „Madzia", „Żołnierz radziecki" oraz autoportret zatytułowany oryginalnie „Kawał drania" należą do najlepszych dzieł autora. Drobne rzeźby i płaskorzeźby Masiaka mają skłonność do udałego syntetyzowania i odznaczają się wdziękiem.

Spośród dziesięciu malarzy „Powiśla" kilku wystawia swe prace po raz pierwszy od wybuchu wojny, czy to z powodu nieobecności w kraju, czy z braku sal wystawowych. — Do pierwszych należy rektor W. Jastrzębowski, który wystąpił jako malarz i dał — z pominięciem innych dziedzin swej rozległej działalności artystycznej — kilka barwnych gwaszów nacechowanych beztroską lekkością w swych dekoracyjnych rozwiązaniach (np. krzyżykowe kwiatostany). Jadę dalej w porządku alfabetycznym. Eugeniusz Arct — jego pejzaż „Aleje Jerozolimskie" wyczuty kolorystycznie, świetny malarsko jest przykładem obrazu niewątpliwie tematycznego (można nazwać go portretem Warszawy) — a przytem — zachowującego wszelkie wartości artystyczne. M. Bylina, dobry batalista, zdaje się przeżywać jakieś fermenty twórcze. Z pokazanych, bardzo się między sobą różniących prac, można wnioskować o rozległej skali jego możliwości artystycznych. Tematyka Byliny świadczy o jego historycznych zamiłowaniach, co może być bardzo przydatne w naszej burzliwej epoce. „Rok 1939" ma wiele ciekawych zestawień kolorystycznych. Gizela Klimaszewska, znana pejzażystka pracuje usilnie nad kolorem. Pejzaże jej, pełne umiaru i zadumy, mają pięknie rozbudowaną gamę szarości. Skupioną twórczość Klimaszewskiej trudno określić inaczej, niż słowem szlachetna.

W zaniedbywanej ostatnio u nas dziedzinie portretu ma „Powiśle" kilka godnych wzmianki pozycyj. Prof. E. Kokoszko dał portrety oraz pejzaże. Wizerunek Marszałka Rola-Żymierskiego wyróżnia się malunkiem głowy i spojrzenia, oddanego trafnie a powściągliwie. W pejzażach daje się poznać wysoka technika malarska Kokoszki, widoczna również w traktowaniu obrusa-draperii na portrecie Marszałka. Stefan Piużański obdarzony jest prócz talentu wielką inteligencją i rozległą wiedzą malarską, która pozwala mu na swobodne stosowanie ciekawych technik, potęgujących wdzięk jego prac. Piużański ma za sobą sprzed wojny obrazy o mocnym wydźwięku społecznym. Wystawiony obecnie „Węglarze" kontynuują tradycję. „Bitwa pod Oliwą" ma wiele uroku, lecz ileż miałaby go historia współczesna, traktowana w ten sam sposób! Kto wie, czy jest malarz, który miałby do takiej pracy równie doskonałe dane! Portrety Janusza Podoskiego nie wyczerpują całej jego malarskiej działalności. Podoski mocno charakteryzuje modele, podporządkowując wszystko światłocieniowi i sile wyrazu. Ciemnym kolorytem i spokojem kompozycji uzyskuje nastrój intymności. Teresa Roszkowska to wulkanik „Powiśla". Malarstwo jej, pełne bujnej radości życia, ma ogromne wartości dekoracyjne, przejawiające się w obu pokazanych rodzajach prac (kompozycje figuralne i kwiaty) odmiennych ujęciem kompozycyjnym oraz sposobem malowania. Roszkowska dała się poznać w świecie teatralnym jako znakomita dekoratorka, odnosząc tryumfy w trzech już po wojnie sztukach. Obrazy jej należą do najlepszych eksponatów „Powiśla". E. Szymański ma na wystawie dwie prace, zbliżone do siebie ciemnym, gorącym kolorytem i rozmachem malowania. „Łowiczanka" wyróżnia się przyjemną harmonijną kompozycją. W „Kwiatach" wyszły na jaw zdobnicze skłonności autora.

W wyliczeniu „Powiślan" pominięty został Bronisław W. Linke z przyczyny, określonej kiedyś przez śp. prof. Pruszkowskiego w jednej z jego słynnych recenzyj przy sposobności pisania o żonie: „...O obrazach tych źle pisać nie mogę ze względu na spokój domowy, a dobrze mi nie wypada".

Anna Z. Linke

Na otwartej obecnie w Muzeum Narodowym wystawie grupy „Powiśle" jest kilka obrazów B. W. Linke'go z cyklu pt. „Warszawa". Obrazy łączą się tematycznie oraz techniką wykonania, — niezwykłym sposobem malowania akwarelą. Dramatyczne dzieje walczącej i męczeńskiej Warszawy przedstawione są z drobiazgowością kronikarza i wyrazistością. Swą pierwszą po wojnie wystawą, artysta uczcił rodzinne miasto. Druga część cyklu, przedstawiająca odrodzenie Warszawy znana jest publiczności tylko ze szkiców, drukowanych w pismach.

K. B.

Korespondencja

NIECH ŻYJĄ SPROSTOWANIA

Do redaktora „Odrodzenia"

Szanowny Redaktorze, ponieważ kilka lat życia zajmowałem się zawodowo (a bez większego powodzenia!) poprawianiem, nie lubię poprawiaczy i bardzo niechętnie zajmuję się poprawiactwem. Szczególnie jednak nie lubię tych wypadków poprawiania, gdy ktoś w imię czegoś, wyrazy lub zwroty dobre „poprawia" zastępując je gorszymi lub nawet złymi. A tak zdarzyło się ze mną, w artykule bowiem świątecznego „Odrodzenia" przerobiono mi „zbiorek (zeszyt) liryków" na „zbiorek (zeszyt) liryk". Drobiazg to — ale, jak się dalej okaże, znamienny, pozwolę więc sobie nieporozumienie wyjaśnić.

Gdyby mój „Słownik literacki", od roku błąkający się między Scyllą Ministerstwa Oświaty a Charybdą PZWS był już w ręku czytelnika, wystarczyłoby odwołanie się do tej książki. Tak jak rzeczy stoją, trzeba wdać się w dłuższy wywód.

W naszej terminologii naukowo-literackiej odróżniam trzy wyrazy pokrewne: 1) LIRYKA, 2) LIRYK (-a), 2) LIRYK (-u), które to wyrazy w użyciu potocznym często się krzyżują.

1) LIRYKA, dopełniacz: liryki, rzeczownik używany tylko w liczbie pojedyńczej. Znaczy on albo a) dział poezji lirycznej, w przeciwieństwie do epickiej (epiki) i dramatycznej (dramatu), a więc wielki rodzaj literacki; np. przedstawicielami liryki greckiej byli Alkajos i Safona; albo b) twórczość liryczną danego poety, lub też ogół jego utworów lirycznych; np. liryka Mickiewicza, Staffa, Leśmiana.

2) LIRYK, dopełniacz: liryka, liczba mnoga: lirycy, liryków, oznacza poetę piszącego wiersze liryczne (horacjańskie vates lyricus), np. Mickiewicz, Słowacki etc. jako liryk, lirycy greccy.

3) LIRYK, dopełniacz: liryku, liczba mnoga: liryki, liryków, poemat, wiersz, utwór liryczny. W epoce neoromantyzmu częsty bywał tytuł „Liryki" mający dobrą tradycję, już bowiem w czasach Kniaźnina, poeci wydawali zbiory p. t. „Liryków ksiąg czworo". I w zgodzie z tym sam posługuję się zwrotami w rodzaju: tom liryków Tetmajera, Staff jako autor liryków filozoficznych i t p.

Wyraz „liryk" w znaczeniu ostatnim ma osobliwą historię, której nie umiem odtworzyć w szczegółach, a która w zarysie wygląda mniej więcej tak: Wyrósł on na pniu łacińskiego „carmen lyricum" (pieśń liryczna, utwór liryczny); liczba mnoga tego zwrotu brzmiała: „carmina lyrica" albo po prostu „lyrica"; wyraz „lyrica" w znaczeniu zbioru utworów lirycznych przyjął się u nas już w w. XVII (u Kochowskiego) i odmieniał się tak samo jak inne z łaciny przejęte n. p. gimnazja, licea, fakta, to też dopełniacz jego odpowiadacy łacińskiemu „lyricorum" brzmiał liryków i z biegiem czasu od tej liczby mnogiej powstał rzeczownik „liryk", analogiczny do wyrazów: akt, fakt i t. p.

O przebiegu tego procesu nie jasno świadczy „Słownik warszawski", podający za Chmielowskim zwrot w rodzaju (za dokładność nie ręczę, słownika zaś nie mam pod ręką) „badanie liryków Mickiewicza". Bah! ale zwrot ten znajdujemy pod hasłem „liryka" użytym w moim znaczeniu 1). W ten sposób słownikarz utrwalił i uświęcił bałamuctwo pospolite na terenie dawnej, a jak się okazuje i dzisiejszej Warszawy polegające na pomieszaniu wyrazów 1) i 3), a znane mi ze szkiców Konopnickiej czy Z. Wasilewskiego, w których prawi się o „liryce Zaleskiego pod tytułem..." czy o „liryce Kasprowicza" w znaczeniu jednego utworu lirycznego, liryku. Ktoś kto danym wyrazem posługuje się w ten sposób, odmienia go: ta liryka, te liryki, tych liryk, jak: ta kluska, tych klusek i jest w porządku w obrębie swego poczucia językowego. Słownikarz jednak warszawski, który dawał „ta liryka, tych liryków" nie był w porządku, bo nie podawał przecież: „kluska, klusków", ograniczał się wyłącznie do poprawnych postaci języka literackiego, a jego potknięcie się stało się normą dla poprawiaczy dzisiejszych...

Ja sam za normę uważam własne poczucie językowe, nie dlatego że jest ono moje własne, lecz że wyrasta ze znajomości dziejów wyrazów, o których tu mowa. Normę tę staram się stosować i szerzyć konsekwentnie zgodnie z poglądami dotyczącymi terminologii naukowej, które wyłuszcza i o które bojuje również w świątecznym „Odrodzeniu" mistrz czy dyrektor szkoły krytyków. Skoro zaś już wypadło mi wkroczyć na podwórko tego mimowolnego sprzymierzeńca, dodać winienem, że sam nie posługuję się ani „kontekstem" ani „aspektem". W wypadku pierwszym idąc za K. Wóycickim, używam zupełnie dobrego wyrazu „powiązanie" nawet tam, gdzie „kontekst" jest jedynie właściwy, dotyczy bowiem stosunku jakiegoś urywka tekstu do jego otoczenia w tym tekście. Nad „aspekt" zaś i jego niekoniecznie szczęśliwie przez Ingardena ukuty „wygląd", przenoszę dawną, poczciwą „stronę", powszechnie stosowaną w czasach Chlebowskiego i Chmielowskiego, gdy mówiło się o: religijnej stronie liryki Mickiewicza, komicznej stronie „Pana Tadeusza", bohaterskiej stronie „Trylogii" czy historycznej stronie „Krzyżaków". Nie przeczę, że w pewnych wypadkach „powiązanie" i „strona" mogą brzmieć nieco niezgrabnie, wiem jednak z doświadczenia, że wypadki takie stanowią jakieś 1% codziennej praktyki naukowej i pisarskiej. Słowem: „gdyby mój Słownik literacki"... i t. d. — i autor i czytelnicy i sympatycy szkoły krytyków, wśród nich również podpisany, niewątpliwie mieliby mniej zmartwień naukowych.

Julian Krzyżanowski

(Warszawa)

SUKCES POLSKIEGO FILMU

Film „Ostatni etap", który wzbudził tyle zainteresowania, ocen, polemik i wypowiedzi ze strony krytyków i publiczności, zaczyna zdobywać obce ekrany.

Prasa czeska pisząc o tym filmie stwierdza, że da się go postawić obok najbardziej artystycznych filmów radzieckich. Chwaląc poziom techniczny podkreśla szczególnie fakt, że „Ostatni etap" jest pracą bardziej kolektywną i bardziej wyrównaną niż wiele innych utworów filmowych, ukazujących losy i przeżycia człowieka w okresie wojennym, a już dziś uznanych za klasyczne.

„Ostatnim etapem" zainteresowało się szereg państw. Finalizują się umowy z Norwegią, Szwecją, Jugosławią, Czechosłowacją i Palestyną.

Niedawno w Norwegii odbył się zjazd b. więźniów politycznych, w którym udział wzięła Wanda Jakubowska. Podczas zjazdu został wyświetlony film Jakubowskiej, spotykając się z bardzo życzliwym przyjęciem.



Wanda Jakubowska

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1.000 otrzymali w ubiegłym tygodniu dr Stanisław Turczyński, Kraków, Wawel — Zamek Król. oraz Stefan Dürr, Warszawa, Mickiewicza 27 m. 186, po 500 zł. każdy, za wycinek z „Camera Obscura".

CAMERA W CAMERZE

W „Camerze" w 177 nrze „Odrodzenia" wycinek z „Robotnika" został opatrzony następującym dowcipnym komentarzem:

„Bujda! Na dziedzińcu pałacu Potockich stanie posąg Colleoniego dłuta Donatella".

Bujda! Na dziedzińcu pałacu Potockich stanie posąg Colleoniego dłuta Andreu Verrocchio!

NIEZNANY SPRAWCA

Z „Kuriera Popularnego" dowiadujemy się:

Atak na Pałac Narodowy w Bogota nastąpił po zranieniu przez niewykrytego sprawcę dr. Jorge Gaitana, przywódcy opozycji partyjnej liberalnej.

Tłum dokonał samosądu na sprawcy, a następnie wdarł się do pałacu wykrzykując „śmierć Laurano Gomezowi".

Okropne! Domyślamy się bowiem, że po samosądzie nie pozostało ze sprawcy nic! Nawet dokumenty...

DO CYRKU JA!!

„Dziennik Zachodni" zamieszcza następującą notatkę:

Instruktorka Centrali Rybnej Katowice. (wm) Przybyła tu p. Maria Dłuska, instruktorka Centrali Rybnej przy Min. Aprowizacji. Zabawi ona na Śląsku do 10 maja br., popularyzując w drodze pokazów praktycznych spożycie dorsza i innych ryb morskich, które u nas w kraju jest, niestety, niedostateczne.

W ciągu dwudniowego pokazu, zjadła ob. Dłuska 1.463 kg. dorsza, budząc podziw zgromadzonej publiczności. Nie bez pikanterii jest szczegół, że po spektaklu na prywatnej kolacji, również jadła dorsza. Tłumaczyła, że podczas pokazu jadła z obowiązku, a teraz — dla przyjemności.

BIJEMY NA ALARM!

Od wielu czytelników otrzymujemy listy z przykładami błędów korektorskich na łamach naszej prasy. Błędy te zniekształcają myśli autorów, bardziej wykształconych czytelników — drażnią, a mniej wykształconych — wprowadzają w błąd. Oto kwiatek z „Dziennika Zachodniego":

Zwycięstwo szermierzy szwedzkich Rzym (obsł. wł.) Rozegrano tu międzypaństwowy mecz w szabli pomiędzy najsilniejszymi zespołami Europy — Węgrami i Włochami. Zwycięstwo odniosła reprezentacja Węgier w stosunku 19:17.

Prosimy o staranniejszą korektę, mimo, że prośbą tą podcinamy gałąź, na której sami siedzimy. Tym lepiej. Dzień, w którym przestaniemy istnieć, będzie dniem naszego tryumfu.

CIEMNA NOC KSIĘŻYCOWA

W „Opinii" z 19-go IV-ego znajdujemy taki opis walki:

Noc ciemna, choć oko wykol. Księżyc świeci. Mży deszczyk. Dookoła świszczą kule i odłamki padają na pozycję obrońców. Naprężona, śmiertelna cisza panuje dookoła.

Cisza... przerwana wybuchem głośnego śmiechu...

NOGA

W „Zielonym Sztandarze" z 7-ego III-ego pisze ob. Anna Dłuska:

A że demokracja nie na jednej nodze stoi, a na dwóch — politycznej i gospodarczej, to też i w sprawie równouprawnienia kobiet musi być to samo. Samo równouprawnienie kobiet z mężczyznami, jak praktyka wykazuje, nie wystarcza. Musi i ta sprawa otrzymać drugą nogę, by się nie zachwiała.

Czyżby naprawdę chodziło o drugą nogę?

CUDA TECHNIKI

„Słowo Polskie" zamieszcza reportaż z „Wystawy Ziem Odzyskanych". Między innymi czytamy:

Na środku dużego placu, który okolony jest wspomnianymi wyżej pawilonami, stoi stalowy maszt, 100-metrowej wysokości. Wykonała go firma Mostostal według projektu inż. Hempla. Opierać się on będzie na kulce porcelanowej.

Kulka zaś porcelanowa spoczywać będzie na nosie żonglera z cyrku Staniewskich...

POWRÓT POETY

W toruńskim „Głosie Pomorza" znajdujemy następujące ogłoszenie:

Wróciłem poeta Józef Czerni — Toruń Mickiewicza 2-4. (2836)

Witając poetę Józefa Czerni, prosimy jednocześnie o dalszą współpracę w naszym poczytnym dziale.

WIELKA IMPROWIZACJA

W 158-ym nr. „Przekroju" czytamy:

J — 44. Symboliczna cyfra, powszechnie znana z Wielkiej Improwizacji Mickiewicza.

Siadać! Dwója! Cyfra 44 znana jest z Widzenia Ks. Piotra...

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-50041 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"